

Joan Elliott Pickart  
***Ślub na święta***

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Stojąc u stóp szerokich schodów wiodących do bogato rzeźbionych drzwi kościoła, Luke St. John uniósł wzrok na wysokie mury, eleganckie łuki, piękne witraże.

To naprawdę majestatyczna budowla, pomyślał. Nic dziwnego, że jego brat, Robert, i Ginger Barrington wybrali ten właśnie kościół na swój jutrzejszy ślub. A miał to być ślub roku, taki, o jakim Ginger zawsze marzyła.

Nad zaplanowaniem ceremonii pracowano już od wielu miesięcy, a Ginger, nie musząc się liczyć z kosztami, bo ojciec po prostu wręczył jej czek in blanco, bez przerwy zmieniała zdanie co do ustalonych już szczegółów. Robert wyznał kiedyś Luke'owi, że chwilami organizatorka ślubu ma chyba już tego dość i sprawia takie wrażenie, jakby chciała udusić jego narzeczoną.

Luke uśmiechnął się, otwierając drzwi kościoła. Ginger Barrington, pomyślał, to śliczna i sympatyczna dziewczyna, chociaż trochę roztrzepana.

Ale co tam! Ludzie z towarzyskich kręgów Barrhigtonów i St. Johnów byli przyzwyczajeni do tego rodzaju ekstrawagancji. Najważniejsze, że Ginger i Robert są tak

bardzo w sobie zakochani, wprost świata poza sobą nie widzą.

A on, patrząc, jak rozwija się ich miłość, czasami czuł ukłucie zazdrości. I to go trochę niepokoiło. Przecież nie pragnął stałego związku, na randki umawiał się z kobietami niezależnymi, oddanymi karierze zawodowej, i jak do tej pory całkiem mu to wystarczało. Mimo to jednak...

Potrząsnął głową, by uporządkować splątane myśli, i spojrzął na zegarek.

Spotkanie w interesach po tej stronie miasta skończyło się szybciej, niż przewidywał, i na próbę ślubu przyszedł za wcześnie. Nie szkodzi. Posiedzi sobie tu spokojnie i odpocznie.

Wybrał miejsce w jednej ze środkowych ław i z przyjemnością rozglądał się po pięknym kościele. Po chwili zauważył, że otwierają się boczne drzwi przy ołtarzu.

Weszła przez nie jakaś kobieta, w rękach niosła ogromne kartonowe pudło. Przyglądał się jej, gdy szła do nawy, a potem ustawiła pudło na pierwszej ławie i wyciągnęła z niego wielką kokardę z żółtej satyny.

Nagle poczuł ból w piersi. Uświadomił sobie, że w chwili, gdy ta kobieta weszła do kościoła, zapomniał o oddychaniu. Zaczerpnął tchu, pochylił się do przodu i chłonał ją wzrokiem.

Jest piękna, pomyślał oszołomiony. Nie, to nieodpowiednie słowo. Piękne starały się być te robiące karierę kobiety, z którymi się spotykał. Prawda, że dbały o perfekcyj-

ne ubranie, fryzury, makijaż, ale przez to były wszystkie tak bardzo do siebie podobne.

A ta kobieta, która teraz przywiązywała kokardę z boku pierwszej ławy, jest... urocza. Tak, o to właśnie chodzi. Urocza. Przywodzi na myśl zdrowie, świeży powiew powietrza, promień słońca w pochmurny dzień. Założyłby się o każdą sumę, że w ogóle nie ma makijażu, a jej jasne włosy opadają na ramiona w naturalnych lokach. I te oczy! Wielkie, piwne oczy łani. Prześliczne. A w tej zwyczajnej różowej letniej sukience wyglądała fantastycznie.

Śmieszne, ale poczuł, jak mu przyspiesza serce. Ta kobieta wywarła na nim niesamowite wrażenie. Nigdy jeszcze nic takiego mu się nie zdarzyło. Nigdy.

Przywiązywała teraz zieloną kokardę z boku drugiej ławy, a potem zrobiła to samo przy obu ławach po drugiej stronie nawy. Zapewne w ten sposób oznaczała miejsca dla rodziny państwa młodych.

Najprawdopodobniej to właśnie ta organizatorka ślubu, którą Ginger doprowadziła na skraj szaleństwa. Wydawała się bardzo młoda jak na tak poważne zajęcie, miała może dwadzieścia cztery, najwyżej dwadzieścia pięć lat. No i dobrze. On ma trzydzieści dwa, więc nie jest dla niej za stary.

Doskonale. Po prostu doskonale.

Ale... organizatorka ślubów? Dlaczego ktoś decyduje się na taką pracę? Bo jej własny ślub był tak cudowny, że chce dzielić to błogosławieństwo z innymi? Nie. To niemożli-

we. Ona nie jest meżatką. Tego by nie zniósł. Zajmuje się tym, bo jest romantyczną, staroświecką dziewczyną, która uwielbia śluby i jest bardzo dobra w radzeniu sobie z milionem szczegółów w jednej chwili. Tak. To o wiele lepsza odpowiedź.

Musi ją poznać. Koniecznie. Musi usłyszeć jej głos, spojrzeć głęboko w te jej niewiarygodne ciemne oczy. Musi nawiązać z nią kontakt, zanim zniknie z jego życia tak samo nagle, jak się w nim pojawiła. Musi...

Człowieku, opanuj się! Nie wiedział, co się z nim dzieje, ale było to lekko przerażające. Tego jednego przynajmniej był pewien.

Od drzwi doleciał szmer głosów. Luke wyszedł z ławy i wtedy akurat kobieta odwróciła się w jego stronę. Sapnęła i cofnęła się o krok.

- Przepraszam - powiedział, podchodząc do niej. - Nie chciałem pani przestraszyć. Przyszedłem za wcześnie, siedziałem tu i... - Stał przed nią, spojrzał jej w oczy i całkowicie zapomniał, co chciał powiedzieć.

- Ja... - odezwała się kobieta - jestem... - Też zamilkła, bo zabrakło jej słów.

Te jego oczy, te ciemne, bezbrzeżne jeziora, w których kobieta mogłaby się zanurzyć i nawet nie walczyć o wypływanie na powierzchnię. I ten głos... taki męski i dźwięczny, a mimo to łagodnie ją otulał jak miękki, zmysłowy aksamit, wywołując dreszcz...

Był wysoki, miał szerokie ramiona, długie nogi, wyrazi-

ste rysy twarzy i lśniąca czarna włosy. Wyglądał tak, jakby tu przyszedł prosto z castingu.

- Pani jest...? - spytał Luke, lekko się ku niej pochylając.

- Kto? Ja? Och! Tak. Oczywiście. Jestem Maggie Jenkins, właścicielka firmy „Róże i Marzenia”. Zdobywamy sobie całkiem przyzwoitą reputację w organizowaniu ślubów. Bo to właśnie robię. Ja... organizuję śluby. I za dużo paplam. Ale, widzi pan, jestem już trochę zmęczona. A kim pan jest?

Zachwycająca, pomyślał Luke, a na jego twarzy wykwitł uśmiech. Maggie Jenkins. Podobało mu się jej imię. Pasowało do niej, naprawdę pasowało. Och, tak, witaj, Maggie, która - dzięki Bogu - nie nosisz obrączki.

- Luke St. John - przedstawił się. - Brat tego stremowanego pana młodego i jego świadek.

- Miło mi pana poznać - powiedziała Maggie, odwracając od niego spojrzenie. - Chyba wszyscy już przyszli. Lepiej pójde się z nimi przywitać i zaczniemy próbę, żeby zmieścić się w czasie, bo po próbie mamy zarezerwowaną salę na kolację.

Luke patrzył, jak szybko idzie nawą do drzwi. Ale on nie poszedł, by przyłączyć się do przybyłych. Jeszcze nie. Po prostu stał i chłonał oczami Maggie.

Stając przed rozgadaną grupką weselników, Maggie powstrzymała ziewnięcie zmęczenia i uzbroiła twarz w sztuczny uśmiech.

Czyżby czuła ciepło na plecach? - pomyślała nagle. Czy to Luke St. John patrzy na nią? Maggie, przestań! - skarciła się. Już zdążyła wyjść przed nim na kompletną idiotkę, przesadnie reagując na jego męski magnetyzm. Ale jest tak straszliwie zmęczona, nie myśli jasno. Gdy odpocznie, Luke St. John nym mężczyzną, których przecież jest tak wielu.

- Witam wszystkich - powiedziała raźnie.

- Och, Maggie - rozpromieniła się Ginger. - Nareszcie się doczekaliśmy! To już jutro! Nie mogę wprost uwierzyć!

Nie tylko ty, pomyślała Maggie, uśmiechając się do tej niewysokiej blondynki o opalonej na złoto skórze, ubranej w jedwabne spodnium w kolorze królewskiego błękitu.

- Maggie, pytałam cię już, czy znalazłaś kogoś, kto by dostarczył te jogurty, o które mi chodziło, wyłącznie Jasnożółte i w kolorze miętovej zieleni, do orzechowych babeczek z migdałami?

- Tak, pytałaś. I znalazłam. Musiałam zamówić dodatkowe babeczki, a potem poszukać jogurtów w tym kolorze, ale wszystko jest tak, jak chciałaś. -I zajęło mi to czas aż do drugiej w nocy, dodała w myśli. - A co mam zrobić z migdałami, których nie zużyjemy?

- Go chcesz - odpowiedziała Ginger, machając obojętnie ręką. - Gdzie jest mój najmilszy? Och, Robert, tu jesteś, skarbie. Czy zdajesz sobie sprawę, że już niedługo będziemy w drodze do Grecji? Będziemy mieli cały miesiąc na... Co się stało?

Przystojny młody mężczyzna, około dwudziestopięcioletni, objął Ginger za ramiona.

- Mój brat jeszcze nie przyszedł - wyjaśnił. - Nie możemy odbyć próby bez mojego świadka.

- Twój brat czeka tu już od jakiegoś czasu - uspokoiła go Maggie. - No to idę powiedzieć wielebnemu Masonowi, że jesteśmy gotowi.

Gdy szła do zakrystii, Luke z uśmiechem za nią patrzył.

- Luke! - zawołał go Robert.

- Tak? - Luke nie odrywał oczu od Maggie.

- Co się z tobą dzieje? Stoisz tyłem do wszystkich. Na miłość boską, nie mógłbyś zachowywać się trochę uprzejmiej?

Luke odwrócił się do brata.

- Tak, oczywiście. Przepraszam. Ale powiem ci, że zaimponowało mi to, co Maggie Jenkins zrobiła dla ciebie i Ginger. Jest taka młoda, a już ma własną firmę. A co ciekawsze, tak doskonale to wszystko zorganizowała, jakby sama miała fantastyczny ślub, a przecież chyba nie jest mężatką?

- Nie zaszkodzi upewnić się u kogoś, kto powinien to wiedzieć, pomyślał.

Robert tylko wzruszył ramionami, ale z wyjaśnieniem pospieszyła Ginger.

- Pytałam ją o to. Ona mówi, że uwielbia wyzwanie, jakim jest zaplanowanie doskonałej ceremonii aż do najmniejszych szczegółów, chociaż własnego ślubu nie będzie



miała. Tak mi powiedziała. Nigdy nie zamierza wyjść za  
mąż.

- Dlaczego nie? - spytał zdziwiony Luke.

- Ach, mój drogi, nie byłoby grzecznie ją o to pytać. Słowo daję, mężczyźni też powinni pochodzić trochę na lekcje savoir-vivre'u tak jak my, kobiety. Skarbie - zwróciła się do Roberta - a jeżeli gościom nie będą smakować migdały w jogurcie? Jak myślisz, mogłabym poprosić Maggie, żeby jednak zmieniła do jutra nadzienie w orzechowych babeczkach?

- Lepiej nie - powiedział szybko Luke. - Nie zauważyłaś, że ona ma podkrażone oczy? Musi być wykończona. A na twoich lekcjach savoir-vivre'u na pewno uczono was, że trzeba zważać na potrzeby innych ludzi. Poza tym jestem od ciebie starszy, uczestniczyłem już w wielu przyjęciach ślubnych i zapewniam cię, że ludzie uwielbiają migdały w jogurcie.

- Naprawdę? - rozpromieniła się Ginger.

- Tak. Więc nawet nie myśl o tym, by kazać Maggie zmieniać nadzienie w babeczkach.

- No, skoro tak twierdzisz... - Ginger już zamierzała wyrazić kolejne wątpliwości, ale w tym momencie otworzyły się drzwi zakrystii. - Och, jest już Maggie z pastorem. Pójdę się z nim przywitać.

Pobiegła nawą, a Robert przyjrzał się starszemu bratu.

- Od kiedy stałeś się ekspertem, jeśli chodzi o popularność migdałów? - spytał ze zdziwieniem. - I skąd wiesz, że Maggie jest zmęczona? Powiedziała ci o tym?

- Jestem prawnikiem - wyjaśnił Luke. - A dobry praw-

nik musi zauważać najdrobniejsze niuanse w zachowaniu innych ludzi, bo mają wielkie znaczenie dla wyniku rozpraw sądowych.

- Co za bzdura! - roześmiał się Robert.

- No... tak - zająknął się Luke. - Zapomnij o tym.

- Nagle stałeś się taki... opiekuńczy. Tak, właśnie. Opiekuńczy wobec Maggie. Co się za tym kryje?

- A co miałoby się kryć? - Luke na chwilę zamilkł. - Wiesz, Robert, zazdroszczę ci tego, co macie ty i Ginger. Obserwowałem was przez minione miesiące, widziałem, jak się w sobie zakochujecie, robicie plany na przyszłość. Cieszę się, że jesteście szczęśliwi. Ale przyznaję, że trochę wam zazdroszczę.

- Ty mi zazdrościsz? - zdumiał się Robert. - Trudno mi w to uwierzyć. Kobiety ustawiają się w kolejce na twoim progu. Zawsze szukałeś takich, które pragną zabawy, a nie ustatkowania się.

Luke patrzył na Maggie, która podchodziła do nich z pastorem i Ginger.

- Wszystko z czasem się zmienia - powiedział spokojnie.

Wielebny Mason przywitał się z gośćmi i wyjaśnił, że odtworzą najważniejsze momenty ceremonii, tak by jutro wszystko poszło gładko.

- A więc - zarządził - Ginger, stań z ojcem w progu kościoła i zaczekaj, aż druhny ruszą w stronę ołtarza. Wtedy...

- Och, nie. - Ginger energicznie potrząsnęła głową. - Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego? - Robert był przerażony. - Chyba nie odwołujesz ślubu?

- Kotku, nie bądź głupi! - roześmiała się i pocałowała go w policzek. - Ale wiesz, że to przynosi pecha, gdy pan młody widzi pannę młodą dzień przed ślubem? No więc takiego samego pecha przynosi, gdy państwo młodzi grają swoje role na próbie. Nie wiedziałeś o tym?

- Nie, rzeczywiście nie wiedziałem - odparł Robert, wzdychając z wielkiej ulgi. - Więc co zrobimy?

- Ty i ja usiadziemy w ławce i będziemy uważnie obserwować - wyjaśniła Ginger - żebyśmy jutro wiedzieli, co robić.

- Kogo obserwować? Przecież to my będziemy nowożeńcami.

- Zastępców, głupku - wyjaśniła Ginger. - No, zobaczmy. Doskonale. Twój ojciec odegra rolę świadka i uda, że podaje obrączki, Luke będzie panem młodym, a... - rozejrzała się - tak, oczywiście. Maggie będzie panną młodą!

- Z przyjemnością - ucieszył się Luke.

Maggie pobladła.

- Nie wydaje mi się, by był to dobry pomysł - zaprotestowała. - Nie. To bardzo zły pomysł. Ja muszę... Tak. Muszę zostać w tyle kościoła i dopilnować, by drużny, idąc nawą w kierunku ołtarza, zachowywały właściwy odstęp.

- A jaki ma być ten odstęp? - spytał Luke uprzejmie.

- Trzy rzędy ław, ale...

- Moje panie, zrozumiałyście? - zwrócił się Luke do druhen.

Wszystkie skinęły głowami.

- W porządku - kontynuował. - Wobec tego jesteś wolna. Możesz iść za nimi z tatą Ginger i być... panną młodą. A ja będę panem młodym.

- Świetnie - skonstatował wielebny Mason. - Proszę zajmować swoje miejsca. Drużbowie powinni stanąć przed ołtarzem, ze świadkiem i panem młodym. Szanowne mamy, proszę siadać w wyznaczonych ławach. Ginger i Robercie, usiądźcie tak, żebyście mogli wszystko dobrze widzieć i słyszeć.

- Ale... - zaczęła Maggie.

- Do szybkiego zobaczenia, przyszła żono - powiedział Luke, uśmiechając się do niej.

-Ale...

- Idziemy... Ginger - poleciał pan Barrington, chichocząc, i wziął Maggie pod rękę.

Nie chcę być panną młodą, myślała Maggie z rozpaczą, gdy ojciec Ginger prowadził ją na koniec kościoła. Nie. To nie tak. Chciała, ale wiedziała, że to się nigdy nie zdarzy. Nie może na to pozwolić, bo... Nie, nie jest panną młodą. I nigdy nią nie będzie.

A całą sprawę pogarszał jeszcze fakt, że zastępczym panem młodym był Luke St. John, mężczyzna, przy którym z wrażenia brakowało jej tchu.

- Organy właśnie zaczynają grać utwór, który wybraliście. Udawajcie, że to słyszycie - komenderował tymczasem wielebny Mason. - Druhny zaczynają marsz do ołtarza.

Gdy orszak ruszył, ojciec Ginger nachylił się do Maggie.

- Mam nadzieję, że Ginger będzie wyglądała jutro na szczęśliwszą niż ty teraz. Przecież to świetna zabawa, nie sądzisz, Maggie?

- Nie nazwałabym tego zabawą - odparła, usiłując się uśmiechnąć.

- Dlaczego? Zobacz, przy ołtarzu czeka na ciebie Luke, którego wszystkie panie z naszego miasta uważają za wspaniałą zdobycz. W tej chwili wzbudzasz zazdrość tłumy kobiet. Czy ta myśl ci się nie podoba?

- Nie bardzo - odparła Maggie ponuro.

- No to przynajmniej udawaj. Moja córka jest taka przesądna w sprawie tych wszystkich nonsensów, że dostanie ataku hysterii, jeżeli będziesz wyglądała tak, jakbyś właśnie przechodziła kanałowe leczenie zęba. Na miłość boską, to ślub, a nie pogrzeb. Uśmiechnij się! - rozkazał.

Maggie przybrała tak szeroki uśmiech, że aż rozboleły ją policzki.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Słyszę marsz weselny, pomyślał Luke. Wiedział, że to niemożliwe, ale przepiękna muzyka naprawdę wypełniała kościół.

A tam, w oddali, wsparta na ramieniu ojca Ginger szła miarowym krokiem Maggie, jego panna młoda. Taka uroczą i piękną... Podchodziła coraz bliżej, a jemu serce głośno łomotało na sam jej widok.

W końcu Maggie i pan Barrington stanęli przed pastorem.

- Teraz spytam - powiedział wielebny Mason - kto oddaje tę kobietę w małżeństwo. A pan, panie Barrington, odpowie: „Jej matka i ja”. Potem weźmie pan rękę córki i włoży ją w rękę Roberta.

- Jej matka i ja - zadudnił pan Barrington.

Nawet nie zdając sobie sprawy, że się poruszył, Luke wystąpił do przodu i wyciągnął rękę. A gdy pan Barrington umieścił rękę Maggie w dłoni Luke'a, ich spojrzenia się spotkały, i czas się zatrzymał.

Dobry Boże, pomyślała Maggie, niezdolna do odwró-

cenia wzroku od hipnotyzujących głębi oczu Luke'a. Luke obejmował jej dłoń tak zaborczo, a jednocześnie łagodnie. Ciepło jego ręki przesunęło się wzdłuż jej ramienia, przez piersi, aż wreszcie ogarnęło ją całą, powodując napływ gorąca, które rozplómiło rumieńcem policzki.

Musi cofnąć rękę. I cofnie ją. Za chwilę.

I musi przestać patrzeć Luke'owi w oczy. Tak robi. Teraz. Za moment.

- Zebraliśmy się tutaj - oświadczył wielbny Mason - by połączyć tego mężczyznę i tę kobietę świętym węzłem małżeńskim.

Tak, pomyślał Luke. Właśnie po to tu są. Ten mężczyzna, czyli on, i ta kobieta, Maggie, zaraz zostaną połączeni świętym węzłem małżeńskim, będą mężem i żoną, dopóki śmierć ich nie rozłączy.

Nigdy w życiu nie czuł tego, co teraz. Otulało go łagodne ciepło spokoju, w jakiś sposób przemieszane z wprowadzającym w zamęt żarem pożądania. Teraz już wiedział, że ten dreszcz, którego tak często doznawał, był dreszczem samotności. Ale już ustał, odszedł w zapomnienie i więcej nie wróci, bo jest z nim Maggie. Czekał na to całą wieczność, czekał na nią, na drugą połowę swojej duszy. I wreszcie tu była. Maggie. Jego Maggie.

Do licha, to czyste wariactwo, myślał, nie mogąc przestać się uśmiechać. Przecież jest prawnikiem, ma do czynienia z suchymi faktami, dowodami, absolutami, sprawami, które mogą być tylko albo czarne, albo białe. A mimo



to nagle dał się ponieść, rzucił się na łeb, na szyję w dziwny nowy świat romantyzmu.

Och, tak, to szaleństwo. Cudowne szaleństwo.

Maggie Jenkins na zawsze ukradła mu serce. A on wcale nie chce, by mu je zwróciła. Kocha ją. To takie proste, a jednocześnie skomplikowane. Podniecające i przerażające razem. To nie powinno być prawdą, nie mogło być prawdą, ale było.

Kocha Maggie na całą wieczność.

- Gdy zapalicie tę pojedynczą świecę tymi dwiema, które tu stoją - wyjaśniał wielebny Mason - zdmuchnijcie je i ustawcie z powrotem w świecznikach. Ta pojedyncza paląca się świeca symbolizuje wasz związek, to, że staliście się jednym.

Tak, pomyślał Luke. Staliśmy się jednym.

Tak, pomyślała Maggie w rozmarzeniu. Czyż to nie jest słodkie?

Słowa wielebnego Masona dźwięczały jak z oddali, podobne bzyczeniu roju pszczół, a Maggie i Luke patrzyli sobie w oczy. Potem nagle pastor powiedział głośno i wyraźnie:

- Możesz pocałować żonę.

Luke objął twarz Maggie rękami, przez długą chwilę patrzył na nią, a potem pochylił głowę i uwięził jej usta w pocałunku, który był tak czuły, tak pełen szacunku, tak... naturalny, że jej wzrok przesłoniła mgiełka łez. Rozkoszowała się tym pocałunkiem i marzyła, by nigdy się nie skończył.

Wielebny Mason odchrząknął.



- No tak, to już wszystko. Dziękuję, Luke, Maggie, za tak przekonujące odegranie waszych ról.

Luke uniósł głowę i oboje spojrzeli na pastora tak, jakby nie wiedzieli, kim jest.

- Teraz - kontynuował pastor - przedstawię młodych państwa St. John kongregacji, a potem zabrzmia organy i rozpocznie się powrót. Macie jakieś pytania?

Ginger zerwała się na nogi.

- Nie, nie mamy. Och, to będzie piękne! Już nie mogę się doczekać jutra! Bardzo panu dziękuję, pastorze. Teraz jedziemy do restauracji na kolację. Pan i pańska małżonka przyłączycie się do nas tak, jak planowaliśmy, prawdą?

- Z wielką przyjemnością - odparł pastor, rzucając jeszcze jedno spojrzenie na Maggie i Luke'a.

Patrzyli na niego nieprzytomnie, na ich twarzach malowało się oszołomienie.

Wreszcie Maggie lekko potrząsnęła głową, jakby chciała się uwolnić od zaklęcia, które przeniosło ją daleko stąd. Odsunęła się od Luke'a, a potem z trudem przywołała uśmiech na usta, na których ciągle jeszcze czuła jego smak, jego dotyk.

- Ginger, pójdę do restauracji sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane, a potem wracam do domu.

- Ale miałaś zjeść z nami - nadała się Ginger uroczo.

- Jadłam lunch. I nie jestem głodna. Naprawdę.

- Moja droga, nie bądź niemądra - wtrącił się pan Barrington. - Wiemy, jak ciężko pracowałaś przez te wszyst-

kie miesiące, żeby ślub Ginger wypadł idealnie. Nalegam, żebyś poszła z nami na kolację, nawet jeżeli nie zjesz dużo. A ja umieram z głodu. Chodźmy już.

- Ale... - zaczęła Maggie.

- Idziemy, pani St. John - rozkazał Luke, obejmując ją za ramiona.

- Co?! - Oczy Maggie zrobiły się wielkie jak spodki. - O kim mówisz?

- Och, przepraszam. Chyba jeszcze ciągle odgrywam swoją rolę. Przecież pobraliśmy się kilka minut temu. Maggie St. John. To ładnie brzmi, prawda?

- Ginger St. John brzmi ładnie - odparowała. - Zapomniałeś, że tylko ją zastępowałam? A ja jestem Maggie Jenkins i przy tym nazwisku zamierzam pozostać.

- Ach...

- Co ma znaczyć to „ach”?

- Tylko tyle, że żadne z nas nie ma kryształowej kuli, żeby poznać przyszłość, Maggie Jenkins. Kto wie, co jeszcze może się zdarzyć? Idziemy?

Nie odpowiadając na to pytanie, Maggie chwyciła pudło na kokardy i ruszyła nawą do wyjścia.

Wsiadła do swojej starej, dziesięcioletniej furgonetki i, zajmując miejsce na końcu sznura samochodów jadących do restauracji, wydała z siebie głębokie, drżące westchnienie.

Nie myśl o tym, nakazała sobie. Nie zastanawiaj się nad tym, co się zdarzyło w kościele. Nie przeżywaj wciąż od nowa tego pocałunku. Nie rób tego, Maggie.

Ale, do licha, co tam się właściwie stało? Nigdy w życiu nie doznała niczego tak... cokolwiek to było. Zupełnie jakby zniknęło całe otoczenie, pozostawiając ją i Luke'a samych w jakimś cudownym, bajecznym miejscu. Panna młoda. Pan młody. Pocałunek. To nieokreślone coś, co w swojej intensywności przekraczało wszelkie wyobrażenie.

Znów westchnęła, a na jej ustach pojawił się słodki uśmiech. Ale już w następnej chwili gniewnie uderzyła ręką w kierownicę.

-Maggie, przestań! - krzyknęła. - Po prostu natychmiast przestań. Zachowujesz się jak idiotka.

To dziwne, jakim osłem może się stać człowiek tylko dlatego, że jest wykończony. Oto wyjaśnienie. Przesadna reakcja spowodowana przemoczeniem. To takie proste teraz, gdy się uspokoiła i zaczęła myśleć jak rozsądna istota ludzka.

A Luke? On po prostu postąpił tak, jak po nim oczekiwano, gdy grał rolę pana młodego. To ona popadła w jakieś dziwaczne otumanienie. Luke zwyczajnie udawał, że jest Robertem, i potraktował ją tak, jakby była Ginger. Koniec historii.

Postanowiła, że w restauracji spróbuje jakiejś potrawy, a potem wyjdzie, gdy tylko zwykła uprzejmość na to pozwoli.

Maggie zarezerwowała na tę kolację prywatną salę w pięciogwiazdkowej restauracji.

A obsługa stanęła na wysokości zadania. Na stole błyszcząca zastawa z cienkiej porcelany, skrzyły się srebrne sztucce, na niepokalanie białym koronkowym obrusie rozsypały się płatki różowych róż.

Zadowolona, skinęła głową, bo nastrój był w najwyższym stopniu romantyczny, i poszukała sobie krzesła przy drzwiach, by wymknąć się, gdy tylko nadarzy się okazja. Już siadała, gdy nagle stanął obok niej Luke i wziął ją pod rękę.

- Maggie, zastępcza panna młoda i zastępczy pan młody powinni usiąść jak najbliżej prawdziwych państwa młodych. To część przesądu.

- Nieprawda - oburzyła się.

- Ależ oczywiście, że tak. Chyba nie chcesz zdenerwować Ginger. Starasz się, żeby cała impreza wypadła idealnie, spędzasz całe godziny, wybierając kolor jogurtu, a teraz jednym nieprzemyślanym krokiem zamierzasz wszystko zepsuć?

- Staram się, bo celem „Róż i Marzeń” jest spełnić wszystkie życzenia klienta.

- No właśnie - przytaknął Luke, ciągnąc Maggie ku środkowi stołu. - I dlatego ty i ja usiadziemy blisko państwa młodych.

- Ale ja nie zostanę długo i...

- No, siadamy tutaj - oznajmił Luke, odsuwając krzesło dla Maggie. - Dokładnie naprzeciwko szczęśliwej młodej pary.

Maggie tylko spiorunowała Luke'a wzrokiem, ale usiadła już bez dalszych protestów.

Kelnerki zaczęły nalewać wino, przyniosły zupę, potem sałatki. Przy pieczeni Maggie nie mogła już powstrzymać ziewania.

- Jedz - nakazał Luke.

- Jestem za bardzo zmęczona.

- Jeżeli nie będziesz jadła, Ginger wystraszy się, że coś poszło źle z planami ślubu i dlatego jesteś zdenerwowana. A nie chcę nawet myśleć, co ona by wtedy zrobiła.

Maggie westchnęła i pogrzebała widelcem w talerzu.

Rozmowy i śmiechy przy stole stawały się coraz głośniejsze, wszyscy świetnie się bawili, a Maggie powoli zapadała w sen.

Kilka łyków wina dokonało reszty i nagle nie mogła już utrzymać oczu otwartych. Zaczęła się zsuwać z krzesła. Luke akurat na nią spojrzał. Szybko ją objął. Maggie zamruła.

- Idzie kelnerka z kawą. Napijesz się? Tak, oczywiście, że się napijesz.

- Poproszę - zgodziła się Maggie. - I zabierz rękę.

- Gdy tylko wypijesz kilka łyków kawy, moja panno młoda.

- Nie jestem twoją panną młodą - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - A twoje ramię mi przeszkadza.

-Tak?

- Tak. Jest ciężkie. I za ciepłe. O wiele za ciepłe. Gorące.

- Gorąco ci? - spytał Luke z niewinną miną. - Gorąco ci,

bo ja cię obejmuję? Bo jestem tak blisko ciebie, a ty jesteś blisko mnie? Czyż to nie jest interesujące?

Kelnerka nalała kawy. Maggie pochyliła się, by sięgnąć po filiżankę, a ramię Luke'a poszło za jej ruchem.

- No, już mi lepiej - oznajmiła po kilku łykach. - Jestem całkowicie rozbudzona. Możesz zabrać rękę. Dziękuję ci za pomoc.

- Cieszę się, że mogłem ci usłużyć - powiedział Luke i powoli, bardzo powoli, zaczął się odsuwać. - Maggie, powiedz, dlaczego kobieta, która organizuje tak wspaniałe śluby, sama nie chce pójść za przykładem swoich klientek? Ktoś mi wspomniał, że nie zamierzasz wyjść za mąż. Jestem bardzo ciekawy, co cię skłoniło do takiej decyzji.

- To długa historia.

- Więc mi ją opowiedz. Mamy mnóstwo czasu.

- Raczej nie chcę o tym rozmawiać. - Maggie odepchnęła krzesło i wstała. - Dziękuję za uroczą kolację - zwróciła się do Ginger i Roberta. - Do zobaczenia jutro w kościele.

- Hej, zaczekaj! - zawołał Luke, zrywając się na nogi. - Chyba najlepiej będzie, jeżeli odwiozę cię do domu. Możesz zasnąć przy kierownicy.

- Och, nie. Teraz, po tej kawie, czuję się bardzo dobrze.

Gdy Maggie szybko szła do wyjścia, żegnana chórem serdecznych „do widzenia” i „do jutra”, Luke z ponurą miną opadł z powrotem na krzesło.

- Cholerna kawa - wymruczał, patrząc na pustą filiżankę Maggie.

- Co ci się w niej nie podoba? - spytała Ginger, zaglądając do własnej filiżanki.

- Wszystko z nią w porządku, kochanie - wyjaśnił jej Robert, a potem uśmiechnął się do Luke'a. - Po prostu wpływa na ludzi orzeźwiająco, a to niektórym psuje szyki.

- Nie rozumiem - zdziwiła się Ginger.

- Ach, nic takiego - zachichotał Robert. - To sprawa między nami, mężczyznami. No, wiesz, chodzi o Luke'a i Maggie. On był dziś panem młodym, a Maggie panną młodą. Nie sądzisz, że ich widok jako pary po prostu zbijał z nóg?

- Jeżeli zaraz się nie zamkniesz, przy najbliższej okazji porozmawiamy sobie o zbijaniu z nóg - mruknął Luke.

Robert tylko się roześmiał.

W końcu towarzystwo zaczęło się zbierać do domu.

- To była wspaniała kolacja - powiedział Luke, wstając.  
- Właściwie cały wieczór był fantastyczny. Zdecydowanie zapadający w pamięć.

- Co ty powiesz? - zakpił Robert.

Luke ułożył rękę na kształt pistoletu i wycelował w brata, który śmiał się tak serdecznie, że aż dostał czkawki.

Firma „Róże i Marzenia” mieściła się na parterze starej wiktoriańskiej willi, którą Maggie wynajęła w handlowej dzielnicy Phoenix. Ona sama mieszkała na piętrze.

Klientów przyjmowała w salonie na parterze. Na ścianach porozwieszała zdjęcia ze ślubów, postarała się o ład-



ne stoliki i wygodne fotele, by klienci czuli się komfortowo i chętnie przedłużali rozmowę.

Ale jej najulubiejszym sprzętem była ogromna wanna na lwich łapach w łazience na piętrze, w której mogła się wylegiwać, zanurzona aż po szyję.

Godzinę po wyjściu z restauracji, przebiwszy się przez zatłoczone jezdnie, rozsiadła się wygodnie w rozkosznie ciepłej wodzie z bąbelkami, oparła głowę na poduszce, którą sobie podłożyła na krawędzi wanny, i zamknęła oczy

Dobry Boże, pomyślała, co to był za wieczór! Okropny, po prostu okropny. Luke St. John stanowi dla niej prawdziwe zagrożenie. Tak, to właściwe słowo. Zagrożenie. To bardzo *niebezpieczny przedstawiciel męskiego gatunku*. *Zagraża* spokojowi jej umysłu i wyczynia dziwne rzeczy z jej ciałem. Ogólnie rzecz biorąc, z jej kobiecością. Obudził w niej niepotrzebne pragnienia, a tak bardzo pracowała nad sobą, by je uśpić. Zdecydowanie jest niebezpieczny.

Nic dziwnego, że kobiety aż się wychylały z ław, by przyciągnąć jego uwagę. On bezsprzecznie ma w sobie coś, co budzi w kobiecie zmysłowość.

Ale ona już o tym wie i będzie uważała. Zresztą z całą pewnością jej przesadna reakcja na niego była spowodowana przemęczeniem. Mimo to dręczyło ją nieprzyjemne przeczucie, że nawet gdy porządnie odpocznie, nadał będzie reagowała na to, co on w sobie ma.

A więc: jutro, podczas ślubu i przyjęcia zrobi wszystko, by trzymać się z daleka od pana St. Johna. Nie będzie więc-



cej spojrzeń w te jego nieprawdopodobne oczy. Żadnych więcej ciepłych, silnych ramion wokół jej kibici. I niech Pan Bóg ją strzeże przed takimi pocałunkami jak ten podczas próby, który niestety odwzajemniła, i który, co więcej, wzbudził w niej chęć zdercia z niego ubrania tam, przed samym wielbnym Masonem.

A więc postanowione. Ma plan. Jutro wieczorem będzie się trzymała z daleka od Luke'a, ślub i przyjęcie przemina, a potem już nigdy w życiu go nie zobaczy.

Otworzyła oczy i zmarszczyła czoło.

Ma już nigdy nie zobaczyć Luke'a? Nigdy? Przenigdy? Ależ oczywiście, że tak właśnie będzie. On należy do śmietanki towarzyskiej, a ona do tych, którzy nie są pewni, czy będzie ich stać na czynsz za następny miesiąc. Po prostu nie zdarzy się już żadna okazja, by ich drogi się skrzyżowały.

Tylko dlaczego to ją wpędza w depresję?

- Och, Maggie, przestań! - powiedziała na głos, znów zamykając oczy. - Dziś dobrze się wyśpij, a jutro obudzisz się świeża i bez głupich myśli.

Morzył ją sen, zaczęła się powolutku zsuwać. Niżej i niżej, aż zniknęła pod pianistą wodą.

Wyskoczyła na powierzchnię, wylewając strugę wody na podłogę.

W ustach miała mydło, całą głowę w pianie.

Och, jest taka zmęczona, a zamiast iść do łóżka, musi teraz umyć głowę i wytrzeć podłogę! Sięgnęła po ręcznik, który sobie przygotowała na brzegu wanny. Był mokry i...

Wybuchnęła płaczem.

Płakała, bo wystraszyła się, zanurzając się tak nagle pod wodę. I dlatego, że piana smakowała okropnie i teraz ją mdliło. I jeszcze dlatego, że była za bardzo zmęczona, żeby myć głowę i wycierać podłogę i zrobić coś z mokrym ręcznikiem i...

Płakała, bo chociaż tak bardzo się starała, nie mogła zapomnieć, co czuła, gdy Luke ją całował, i nie wiedziała, jak sobie poradzić z tym nowym i dziwnym uczuciem.

Płakała, bo po jutrzejszym wieczorze już nigdy nie Zobaczy Luke'a. Wiedziała, dobrze wiedziała, że tak będzie dla niej najlepiej, ale czasami to, co najlepsze, jest takie smutne.

Płakała, bo... bo, do licha, musiała sobie popłakać.

Woda w wannie wystygła, włosy wyschły i zmieniły się w jakąś gumowatą pokrywę, a głowa bolała coraz bardziej.

Jeszcze raz załkała, wygramoliła się z wanny, mokry ręcznik wrzuciła do wody, poczłapała do sypialni i wsunęła się pod kołdrę.

I całą noc, spędzoną w wilgotnej pościeli i na lepkiej poduszce, śniła o Luke'u St. Johnie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Po tym niezwykłym, pełnym wrażeń wieczorze Luke nie potrafił zasnąć. W końcu się poddał. Wstał i zaczął się snuć bez celu po swoim penthousie. Wreszcie zatrzymał się przy oknie i z zachwytem zapatrzył w światła miasta, ciągnące się w nieskończoną dal.

W głowie myśli kłębiły mu się jak oszalałe. Przycisnął ręce do pulsujących skroni, ale to nie pomogło.

Maggie, wymówił w duchu jej imię. Była taką kobietą, o jakiej zawsze marzył. Znał ją zaledwie od kilku godzin, ale już wiedział, że to właśnie ona, ta jedyna kobieta na całym świecie, jego życiowa partnerka.

Chciałby wykrzyczeć ponad dachami tę radość, powieścić światu, że jest zakochany, że znalazł drugą połowę swojej duszy.

Jednak gdzieś w głębi porażał go strach. A jeżeli ona nigdy nie poczuje tego samego do niego, jeżeli wyśliznie mu się jak piasek przesypany się przez palce?

Bo Maggie z jakichś nieznanых mu powodów postanowiła nigdy nie wychodzić za mąż. Dlaczego podjęła taką decyzję? Czy jakiś mężczyzna w przeszłości ją skrzywdził?

Och, niechby on tylko dostał drania w swoje ręce, a rozdarłby go na strzępy! Albo by go... Stop! Nie warto tracić energii na takie rozważania.

Może Maggie była tak skupiona na karierze, że nie widziała w swoim życiu miejsca dla mężczyzny?

Nie znajdował odpowiedzi na to pytanie. Ale wyglądało to tak, jakby Maggie zbudowała wokół siebie potężny mur. Luke obawiał się, że nie będzie w stanie go zburzyć i zdobyć dla siebie jej serca.

Jedyną nadzieję pokładał w tym, że przy ołtarzu Maggie odpowiedziała na jego pocałunek. Jej wielkie, ciemne oczy patrzyły na niego z pożądaniem. Pożądała go. Właśnie jego.

Ale nawet gdyby tym pocałunkiem zaczął kruszyć mur, którym Maggie się otoczyła, czeka go jeszcze bardzo długa droga.

W pierwszej chwili, kierowany impulsem, chciał ją zaprosić na randkę, na kolację z winem, i zalecać się w klasyczny sposób. Zaraz jednak sobie uświadomił, że ona na pewno odrzuci jego zaproszenie. Była zdenerwowana, wprost przerażona swoją reakcją na pocałunek, i uciekła z restauracji, gdy tylko nadarzyła się pierwsza okazja.

A więc nie. Tradycyjny sposób - kwiaty, czekoladki i romantyczne kolacje - nie zadziała. Zresztą Maggie nawet nie dałaby mu szansy, by tego popробować.

Potrzebuje nowego, innowacyjnego planu. I musi go wymyślić bardzo szybko, bo jeżeli czegoś nie zrobi, zobaczy

się z Maggie jeszcze tylko podczas ślubu i przyjęcia. Potem, gdyby próbował nawiązać z nią kontakt, mógł już się spodziewać jedynie odmowy.

Maggie, dlaczego? - pomyślał przygnębiony. Dlaczego nie chcesz się zakochać, wyjść za mąż, być panną młodą na ślubie, który byś tak fantastycznie zorganizowała?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nie wiedział też, jak zdołałby stawić czoło pustej przyszłości, gdyby przyszło mu żyć bez Maggie.

Ale on się nie podda. W jakiś sposób, chociaż jeszcze nie wie jaki, zburzy mur i będzie z nią dzielił jej słoneczny świat aż do końca czasu. Dokona tego. Jakoś.

Wczesnym przedpołudniem następnego dnia Maggie przyszła do małego domku swojej matki. Od razu w drzwiach wręczyła jej wielką plastikową torbę.

- Co mi przyniosłaś, kochanie? - spytała Martha Jenkins.

- Babeczki orzechowe z migdałami - odparła Maggie, siadając przy stole w kuchni. - A migdały są polane jogurtem we wszystkich kolorach tęczy oprócz żółtego i zielonego.

Martha roześmiała się i otworzyła torbę. Była przystojną kobietą, chociaż na ulicy może nikt by się za nią nie obejrzał. Jej ciemne włosy przetykały pasma siwizny, której nie zamierzała ukrywać, i już dawno temu zrezygnowała z prób zgubienia co najmniej dziesięciu nadprogramowych kilogramów.

- Właśnie tego moje pulchne ciało potrzebowało. Ale

co tam! Zjem je wszystkie, aż do ostatniej. Czy to resztki po czymś, co przygotowałaś na dzisiejsze przyjęcie? - spytała, biorąc od razu babeczkę.

- Tak. Rozumiesz, moja kapryśna panna młoda uparła się, żeby polewa była wyłącznie w kolorach żółtym i zielonym, więc ten jogurt się nie nadaje. - Zamilkła na chwilę.

- Chociaż nie, to nie tak. Ginger wcale nie jest kapryśna. Po prostu chce, żeby jej ślub był idealny. I przecież ma prawo tego pragnąć.

- To prawda - przyznała Martha. - Niestety idealny ślub nie stanowi gwarancji na idealne małżeństwo. Najlepszym przykładem jest to, że rozwiodłam się z twoim ojcem. Miałaś wtedy dziesięć lat, a on sobie poszedł i więcej go nie widziałyśmy. - Wzięła następną babeczkę. - Och, pycha!

- Myślę, że Ginger i Robert będą szczęśliwi do końca życia - stwierdziła Maggie. - Gdybyś mogła ich zobaczyć razem. .. Och, nieważne.

- Maggie, martwię się o ciebie. Jak to się stało, że zajęłaś się organizacją ślubów, kiedy jest tyle innych zawodów, które mogłabyś wykonywać? Dlaczego tak się torturujesz, urządzając te cudowne ceremonie dla obcych ludzi, podczas gdy sama...

- Podczas gdy wiem, że nigdy nie wyjdę za mąż? - dokończyła za nią Maggie.

- Właśnie - przyznała Martha, poklepując córkę po ręce.

Przed oczami Maggie pojawił się nagle żywy obraz Luke'a. Przebiegł ją dreszcz.

- Może masz rację - powiedziała spokojnie. - Może naprawdę popełniłam błąd. Przez ostatnie pięć lat wszystko było w porządku, z radością organizowałam śluby innym ludziom, ale... - Zamilkła i pokręciła głową.

- Czy ten ślub jest inny? Coś cię w nim wzburzyło?

- Nie, właściwie nie - odpowiedziała szybko Maggie, zmuszając się do uśmiechu. - To po prostu najbardziej okazały ślub, jaki do tej pory organizowałam. I po tylu miesiącach przygotowań chyba będę miała jakieś poczucie straty. Przykro mi będzie rozstawać się z tymi wszystkimi ludźmi.

- Pewnie tak - zgodziła się Martha.

- Oczywiście mam nadzieję, że dzięki temu ślubowi moja firma zyska sobie dobrą reputację i posypią mi się zlecenia na eleganckie, dystyngowane ceremonie. Tego właśnie chcę. Och, nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem w dziwnym nastroju. Mamo, częstuj się. Jogurt jest bardzo zdrowy.

- Ale orzechy tuczą - roześmiała się Martha.

- Jak ci idzie w sklepie? - spytała Maggie, by zmienić temat rozmowy.

- Po staremu. - Martha wzruszyła ramionami. - Nadal kieruję działem dziecięcych ubrań. Ani tego nie Kocham, ani nie nienawidzę. Po prostu w ten sposób zarabiam na utrzymanie. Nie mogę się skarżyć, Kochanie.

- Ja też jestem z Ciebie dumna.

- Tak dotrwam do emerytury. To już niedługo. - Martha przerwała na chwilę. - A czy ty czujesz się tak samo



w swojej firmie? Widzisz siebie prowadzącą ten interes jeszcze przez wiele lat?

- Nie jestem pewna. Jak ci mówiłam, czuję się jakoś nie-swojo po tym, jak przez tyle miesięcy przygotowywałam ten ślub. Ale gdy dziś wszystko się skończy i wreszcie się wyśpię, pewnie będę wiedziała lepiej, czego chcę. Teraz jestem wykończona i to nie jest odpowiednia chwila na analizowanie moich uczuć.

- Masz rację. - Martha westchnęła. - Och, Maggie, tak bym chciała, by wszystko potoczyło się inaczej. Chciałabym mieć nadzieję, że któregoś dnia zaplanujesz wspaniałe ślub dla siebie, ale... To nie wydaje się uczciwe, prawda? Wiem, wiem, nikt nie twierdzi, że życie jest uczciwe.

- Nie - odparła Maggie spokojnie. - Nikt tak nie twierdzi.

Wiele miesięcy temu Maggie zaszalała i kupiła sobie to, co nazywała Strójem. Była to szyfonowa garsonka z haftowanym żakiecikiem w odcieniu morskiej zieleni i spódniczką mieniającą się wszystkimi kolorami tęczy, sięgającą akurat za kolana. Do tego miała sandałki z paseczków na siedmiocentymetrowych szpilkach. Jeżeli ślub odbywał się w zimie, która w Phoenix zawsze jest łagodna, okrywała ramiona białym koronkowym szalem po babci.

Ubrana w Strój, zjawiała się w kościele godzinę przed ceremonią. Sprawdziła, czy dostarczono kwiaty, upewniła się,



że dwie świece stojące przed ołtarzem są żółte, a ta symbolizująca związek Ginger i Roberta - zielona.

Patrząc na świece, wspominała, jak to wielebny Mason wyjaśniał ich znaczenie, podczas gdy ona i Luke odgrywali role panny młodej i pana młodego.

Wiedząc, że to głupie, Maggie mimo wszystko wyjęła jedną żółtą świecę ze świecznika, a potem spojrzała na prawo, wyobrażając sobie Luke'a z drugą świecą. Oczami duszy widziała, jak jednocześnie podchodzą do tej większej świecy pośrodku i zapalają ją. Zdmuchnęła nieistniejący płomień, który symbolizował jej panieński stan, i wtedy zobaczyła - naprawdę zobaczyła! - migoczące światełko świecy stojącej pośrodku. Maggie, przestań! - nakazała sobie ostro i z powrotem włożyła na miejsce żółtą świecę. Wystarczy tych głupstw!

Odwróciła się i aż podskoczyła. Luke stał przy drzwiach kościoła z torbą na ubranie przewieszoną przez ramię i przyglądał się jej.

Wyprostowała ramiona, uniosła dumnie brodę i podeszła do niego.

- Cześć, Luke! - powiedziała, patrząc gdzieś ponad jego głową. - Właśnie sprawdzałam, czy świece są dobrze osadzone. Szczegóły, szczegóły, szczegóły. Zawsze wolę sama wszystkiego dopilnować. Nie uwierzysz, ile spraw trzeba mieć zawsze na uwadze przy takiej ceremonii. I właśnie na tym polega moja praca: na sprawdzaniu wszystkich szczegółów i...

- Wyglądasz pięknie. - Głos Luke'a był niski, głęboki i tak bardzo męski, że Maggie poczuła dreszcz. - Jesteś piękna jak panna młoda.

- Och, dziękuję. - Nadal wołała nie patrzeć mu w oczy. - To przez Strój. Chciałam powiedzieć... nieważne. W tej torbie masz smoking? Wiesz, że Ginger trzy razy zmieniała decyzję co do koloru smokingów? W końcu wybrała jasnoszary. Spodziewam się, że nie masz nic przeciwko plisowanym koszulom, bo ona nie wyobrażała sobie ślubu, jeżeli panowie będą w zwykłych koszulach. No i tak. Doskonale. Lepiej pójdę do gotowalni panny młodej i...

- Maggie, spójrz na mnie - powiedział spokojnie Luke.

- Słuchaj, muszę pędzić...

- Maggie, spójrz na mnie - powtórzył nagłaco.

Maggie powoli uniosła wzrok i natychmiast poczuła zawrót głowy.

- Tak? - spytała cicho.

- Czy podczas przyjęcia zatańczysz ze mną?

- Nie mogę. Nie idę tam w charakterze weselnego gościa. Będę się kręciła na zapleczu, pilnując tych wszystkich do- kuczliwych szczegółów, o których ci mówiłam. No, muszę lecieć. Na razie.

- Maggie, czy ja cię wprawiam w zdenerwowanie?

- Ty? - parsknęła, machając ręką w powietrzu. - Nie bądź niemądry. To nie ty, to ten cały wieczór, który mam przed sobą. Od tego, czy wszystko pójdzie dobrze, zależy reputacja mojej firmy. Więc wszystko musi pójść idealnie.

- Czyli powinnaś się starać, żeby wszyscy goście byli zadowoleni, prawda?

- Jasne. Oczywiście, że tak.

- No to obiecaj, że ze mną zatańczysz. Tylko jeden taniec, Maggie. Chyba nie proszę o zbyt wiele? Przecież nie chcesz, żeby świadek pana młodego był podczas przyjęcia w złym humorze?

Maggie przymrużyła oczy.

- Zawsze dostajesz to, na czym ci zależy?

- Kiedy to jest dla mnie bardzo ważne, to owszem, dostaję - powiedział Luke, nadal patrząc jej w oczy. - A więc umowa stoi? Jeden taniec?

- Jezu, Luke, niech ci będzie. Ale jeżeli podczas tego tańca coś pójdzie źle, to będzie twoja wina.

- Uczciwe postawienie sprawy - odparł, uśmiechając się.

- Do zobaczenia na parkiecie.

Maggie była przygotowana na to, że będzie musiała sobie radzić ze stremowaną, maksymalnie podenerwowaną Ginger. Tymczasem, ku jej zdziwieniu i niewypowiedzianej uldze, Ginger, wchodząc do garderoby w kościele, była całkiem spokojna.

- Naprawdę dobrze się czujesz? - upewniła się Maggie, uważnie jej się przyglądając.

- Maggie, za chwilę biorę ślub z mężczyzną, którego kocham całym sercem - powiedziała Ginger miękko. - I tylko o tym potrafię teraz myśleć. To dziwne, prawda? Tyle ma-

radziłam w sprawie kolorów jogurtu i innych rzeczy, i nagle okazało się, że to wszystko nie jest ważne.

- Myślę, że to cudowne - odparła Maggie, uśmiechając się. - I jesteś piękna w tej sukni. Mam nadzieję, że ty i Robert będziecie razem bardzo szczęśliwi.

- Och, tak. Będziemy bardzo szczęśliwi.

Ale czy na zawsze? - pomyślała Maggie.

- Mamo - odezwała się Ginger, sprowadzając Maggie z powrotem na ziemię. - Musisz przestać płakać, bo inaczej na zdjęciach będziesz miała całą twarz w plamach.

- Wiem, wiem - zachlipała pani Barrington, wycierając nos którąś już z kolei chusteczką. - Ale jesteś moją małą dziewczynką i... och, nie wiem, jak ja to przeżyję.

- Już czas - wtrąciła się Maggie, patrząc na zegarek.

Maggie, jak zwykle, siedziała w ostatniej ławce. Ceremonia toczyła się idealnie, w tej chwili nic od niej nie zależało, więc pozwoliła sobie patrzeć na Luke'a St. Johna.

To grzech tak wyglądać, myślała rozmarzona. Jasnoszary kolor smokingu podkreślał czerń włosów i złocistą barwę opalonej twarzy. Szyta na miarę marynarka uwydatniała szerokie jak skalny blok ramiona. I te silne, ale delikatne ręce, podające obrączki...

A od uśmiechu, jakim rozjaśniła się jego twarz, gdy Robert pocałował swoją żonę, Maggie przebiegł delikatny dreszczyk.

Potem cały orszak skierował się ku drzwiom kościo-

ła. Gdy Luke z honorową drużyną przechodzili obok ławki Maggie, ich spojrzenia się spotkały i Maggie oblała się żarem.

Serce jej waliło, wzrok się zaćmił. Jak, u licha, ona przetrwa ten taniec, który u niej zamówił? Obietnica jest obietnicą, ale... Jeżeli będzie bardzo zajęta doglądaniem wszystkich szczegółów i uda jej się trzymać z daleka od Luke'a, może zdoła go uniknąć. Będzie ją to kosztowało trochę biegania i musi cały czas się pilnować, wiedzieć, gdzie w każdej chwili Luke się znajduje, ale powinna sobie poradzić.

- Dobry plan - mruknęła do siebie. - Maggie, jesteś genialna.

Przyjęcie odbywało się w ekskluzywnym klubie podmiejskim. Gości powitał zastawiony smakołykami stół, a w wielkiej sali balowej porozstawiano mnóstwo kilkusobowych okrągłych stolików, przykrytych na przemian zielonym albo żółtym obrusem. Na środku każdego z nich stała kontrastująca kolorem świeca w szklanym cylindrze. Zespół dziesięciu muzyków w czasie kolacji miał grać spokojne melodie, a potem, po wzniesionych szampanem toastach i pokrojeniu czteropiętrowego tortu, który następnie rozniesie cała armia kelnerów, zaczną przygrywać do tańca.

Ponieważ wszystko toczyło się jak w zegarku, Maggie powoli się uspokajała. Usiadła z talerzem przekąsek w ciemnym kącie sali i z radością przyglądała się wynikowi wielu miesięcy pracy.

Udało się. Może mieć nadzieję, że jej firma utorowała sobie drogę do śmietanki towarzyskiej Phoenix. Widziała, jak goście chowają do portfeli czy kieszeni karty wizytowe jej firmy, które podłożyła pod świeczniki. Fantastycznie!

Odstawiła talerz na tacę przechodzącego obok kelnera. Właśnie w tej chwili Ginger i Robert wychodzili na parkiet, by otworzyć bal. Jacy oni ładni, pomyślała. I jacy szczęśliwi. Uśmiechnęła się z rozrzewnieniem.

Nagle aż się wzdrygnęła. Tańce! Inne pary też już wchodziły na parkiet. Gdzie jest Luke?

O, tam. Tańczy z Ginger. A teraz ze swoją matką. Doskonale. No, no, jego taniec to czysta poezja, porusza się bardzo wdzięcznie jak na tak solidnie zbudowanego mężczyznę. Och. Lekko się skłonił i włożył rękę matki w rękę swojego ojca i - och, nie! - idzie prosto do kącika, w którym ona się ukryła. Trzeba uciekać!

Maggie skoczyła na równe nogi. Pobiegnęła dać zbędne instrukcje kelnerom, bez potrzeby sprawdziła stoliki, potem popędziła do kuchni, by zobaczyć, jak idzie sprzątanie. Gdzie jeszcze mogłaby się ukryć? - zastanawiała się gorączkowo. Ach, tak! Damska gotowalnia.

Szybko utorowała sobie drogę przez tłum i weszła do dużej łazienki. Pod jedną z obwieszonych lustrami ścian stały toaletki, przy nich foteliki, wszystkie zajęte przez poprawiające makijaż kobiety. Inne czekały na swoją kolej. Panował tu gwar, co chwila rozlegał się śmiech, najwyraźniej panie dobrze się bawiły.

Maggie przejrzała się w lustrze, ale właściwie nie miała co tu robić, bo torebkę zostawiła w zamkniętej na klucz szafce w kuchni. No ale przecież może chyba stąd spokojnie wyjść, bo nawet jeżeli Luke zgadł, gdzie przed nim uciekła, na pewno nie będzie na nią czekał przed damską go-towalnią. Bogaci ludzie na ogół przestrzegają towarzyskich form.

Zadowolona, że jak do tej pory dobrze się jej udaje trzymać od niego na bezpieczną odległość, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

I zderzyła się z twardą pierśią Luke'a.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- No i proszę. Jednak się spotkaliśmy - powiedział.
  - Luke, nie możesz kręcić się przed damską toaletą. To wcale nie jest zabawne ani uprzejme. Twoja matka byłaby zdruzgotana.
  - Mojej matki tu nie ma, a ty jesteś. Od chwili, gdy zaczęli grać do tańca, skaczesz po całym lokalu jak pingpongowa piłeczka. Odnoszę wrażenie, że nie zamierzasz dotrzymać słowa i zatańczyć ze mną. Mówisz, że moja matka byłaby zdruzgotana. A co pomyślałaby twoja matka, wiedząc, że jej córka nie dotrzymała słowa?
- Maggie otworzyła usta, by coś powiedzieć w swojej obronie, ale zaraz zdała sobie sprawę, że Luke ma rację. Obiecała, a teraz robi wszystko, byle tylko się wykrecić.
- Och, Luke, nie mam czasu, muszę dopilnować każdego drobiazgu...
  - Nieprawda. Wszystko idzie jak po maśle. W tej chwili na pewno nie musisz niczego pilnować.
  - No tak. Właśnie. Więc poszłam odświeżyć makijaż.
  - Tak? A gdzie jest twoja kosmetyczka? Nie masz przy sobie torebki, a więc i nie masz kosmetyczki.



- Hm...

- Maggie. Nie chcesz ze mną zatańczyć? - spytał spokojnie.

- Chcę. Tylko że...

- No to dobrze. Idziemy. - Wziął Maggie za rękę.

- Ale...

Drzwi gotowalni otworzyły się i na korytarz wyszły trzy młode kobiety.

- O, Luke St. John - uśmiechnęła się jedna nieśmiało. - Co ty robisz przed naszym cichym prywatnym schronieniem? Zgubiłeś się, ty, taki wspaniały mężczyzna?

- Nie - odpowiedział Luke, zaciskając mocniej dłoń na ręce Maggie, która usiłowała się uwolnić. - Nie zgubiłem się. Przeszedłem zabrać moją partnerkę do następnego walca. Uważałem, że byłoby bardzo uprzejmie towarzyszyć jej w drodze na parkiet.

- Czyż to nie słodkie? - wykrzyknęła inna kobieta.

- Obowiązkiem mężczyzny jest eskortować partnerkę - wyjaśnił Luke. - Chodź, Maggie.

- Maggie, jesteś szczęściarą - powiedziała trzecia kobieta, wzdychając z rozmarzeniem. - Ja na wszystkie sposoby od lat staram się „zabrać” Luke'a, ale żaden nie zadziałał. Co ty wiesz takiego, czego ja nie wiem?

- Nie mam pojęcia - wyznała ostrożnie Maggie.

- Miłej zabawy, moje panie - powiedział jeszcze Luke i ruszył korytarzem, ciągnąc Maggie za sobą.

Gdy weszli na salę balową, orkiestra właśnie skończyła

grać poprzedni kawałek. Zabrzmiały tony powolnego, romantycznego walca.

- Idealnie - ucieszył się Luke.

I nagle Maggie znalazła się w jego objęciach, kołysząc się w takt muzyki. Mocno ją przytulił, a ona uciszyła uporczywy głosik w umyśle, który mówił jej, że znajduje się w niebezpieczeństwie, natychmiast powinna się odsunąć, zachować dystans.

- Mmm - westchnął Luke. - Ślicznie pachniesz. Co to za perfumy?

- Mydło.

Luke zaśmiał się, a Maggie, słysząc ten seksowny dźwięk, zadrżała.

- Zimno ci? - spytał, przyciągając ją jeszcze bliżej.

- Nie... nie jest mi zimno.

- Maggie, tak dobrze trzymać cię w ramionach. Idealnie tu pasujesz, po prostu idealnie.

- Ach... - Nawet za cenę życia Maggie nie potrafiłaby znaleźć inteligentnej odpowiedzi.

A muzyka grała dalej.

Otoczający ich tłum zniknął, nawet sama sala już nie istniała. Byli tylko oni dwoje, otuleni zmysłową mgiełką, i ten powolny, przepiękny walc.

Luke chciał, by ten taniec trwał zawsze. Trzymając ją w ramionach, czuł się jak w niebie. Pasowała do niego doskonale. Była jego drugą połową i kochał ją bardziej, niż potrafiłby to wyrazić.

Wymyśli solidny plan, który pozwoli mu regularnie widywać się z Maggie.

Tylko jak to zrobić?

Myśl, St. John. Myśl! Twoje szczęście zależy od tego nieopracowanego jeszcze planu.

Muzyka umilkła.

- Luke? - szepnęła Maggie.

- Tak?

- Czy moglibyśmy zatańczyć jeszcze raz?

- Tak. - Mógłby z nią tańczyć przez całe życie. - Z przyjemnością.

Rozległy się tony następnego walca i znów wirowali w upajającym rytmie muzyki.

Co, u licha, ją napadło, żeby prosić Luke'a o jeszcze jeden taniec? - pomyślała Maggie, a na jej policzki wypłynął gorący rumieniec wstydu. Zachowuje się doprawdy głupio.

Ale czuła się przy nim tak cudownie. Jak on przyjemnie pachnie! I jakim jest wspaniałym tancerzem! W końcu nie stanie się nic złego, jeśli przetańczą jeszcze ten jeden kawałek. Po tym wieczorze już nigdy się z nim nie zobaczy, więc dlaczego nie mogłaby mieć wspomnień o tych dwóch bajecznych tańcach zamiast tylko o jednym?

To było coś jak historia Kopciuszka, tyle że ten przystojny książę nie będzie szukał po całym królestwie Phoenix nóżki, na którą pasowałby szklany pantofelek. Ma tylko tę jedną chwilę i sama myśl o tym była tak smutna, że mogłaby zacząć wylewać fontanny łez.

Orkiestra umilkła. Za szybko, o wiele za szybko. Maggie westchnęła, wysunęła się z ramion Luke'a i odstąpiła o krok.

- Dziękuję - powiedziała, uśmiechając się trochę smutno. - Było mi bardzo miło. Ja... muszę iść dopilnować ekipy sprzątajacej. Do widzenia.

I już torowała sobie drogę przez tłum na parkiecie, a Luke jeszcze swojego stołu. Usiadł obok ojca, dystyngowanego mężczyzny o szpakowatych włosach.

- Wspaniały wieczór, nie sądzisz? - odezwał się George St. John. - Twój brat i Ginger muszą być bardzo zadowoleni.

- Mhm. - Luke, z rękami skrzyżowanymi na piersi, huśtał się na tylnych nogach krzesła.

- Mama ciągle jeszcze tańczy. Doskonale się bawi - kontynuował George.

- Mhm.

- A tak dobrego tortu weselnego jeszcze w życiu nie jadłem.

- Mhm.

- Wydaje mi się, synu, że w Maggie Jenkins znalazłeś swoją drugą połowę. Masz wszelkie oznaki mężczyzny, któremu ziemia usunęła się spod nóg.

- Mhm - mruknął Luke, a potem zamrugał i z hukiem postawił krzesło na wszystkich czterech nogach. - Co takiego?

George roześmiał się.

- No, tak przypuszczałem, że w ten sposób zwrócę na

siebie twoją uwagę. Obserwowałem cię, Luke. Przepadłeś. Zaczynałem już myśleć, że w Phoenix nie znajdzie się żadna kobieta, która by cię zainteresowała, ale Maggie Jenkins najwyraźniej się to udało. Nie rozumiem tylko, dlaczego jesteś taki ponury.

- To bardzo proste, tato. Maggie potrafi organizować fantastyczne śluby, ale sama nie chce wyjść za mąż. Nie wiem, czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia, ale to właśnie mi się przydarzyło. Jestem zakochany w kobiecie, która nie życzy sobie być z nikim.

- Ach, wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia. Zakochałem się w twojej matce w siódmej klasie, gdy puściła klamerka jej gumowego paska i trafiła mnie prosto w oko. A jeśli chodzi o Maggie, uważam, że musisz wypracować jakiś plan.

- Och, tato - jęknął Luke. - Wiem. Już od dłuższego czasu wysilam umysł, ale nic mi nie przychodzi do głowy. Maggie nie da się znęcić zwyczajowymi kolacyjkami z winem. Jeżeli tylko zacznę się zalecać, ucieknie gdzie pieprz rośnie. Dosłownie widzę te mury, które wokół siebie wzniosła.

- Więc je zburz. Przecież poradzisz sobie. Jesteś St. John. A my, St. Johnowie, zawsze zwyciężamy. Nawet nie znamy słowa „klęska”.

- Tak, na sali sądowej. Ale poradzenie sobie z kobietą to zupełnie inna sprawa. Trzeba rozumieć jej sposób myślenia, a wcale nie jestem pewny, czy mężczyzna jest do tego zdolny.

- Masz rację. Ja nawet po tylu latach małżeństwa nie potrafię zrozumieć tych wspaniałych istot. No, to masz przed sobą wyzwanie, co?

- Najważniejsze w całym moim życiu - przyznał Luke.

-I naprawdę potrzebuję jakiegoś pomysłu.

- Więc rusz głową i powiedz mi, gdy coś wymyślisz.

- Jasne. Ale póki nic nie wykombinuję, napijmy się szampana. Może w tych bąbelkach znajdzie się jakaś magiczna odpowiedź.

George roześmiał się i podał synowi butelkę.

- Tutaj znajdziesz tylko kaca, który już czeka, by cię dopaść.

- Trudno - odrzekł Luke i napełnił swój kieliszek aż po brzegi.

Późnym rankiem następnego dnia Luke otworzył oczy i jęknął. Znów je zamknął, przycisnął rękę do pulsującego bólem czoła, a potem ze złością walnął pięściami w materac.

Wydawało mu się, że umiera. Jakiś idiota grał mu w głowie na bębnie, bolał go każdy ząb, a nawet włosy. Gdyby tak można było ściąć sobie głowę i wyhodować nową!

- Och, nienawidzę szampana - powiedział głośno. - Już nigdy nie wypiję tego świństwa. To wszystko wina Maggie Jenkins. Niech to szlag!

Jak on się dostał do domu? Czy ktoś go przywiózł? Pamiętał tylko jak przez mgłę, że Ginger i Robert wyszli wcześniej

z przyjęcia, by zdążyć na samolot do Grecji. Miesiąc miodowy. Państwo Ginger i Robert St. Johnowie. Byli tacy szczęśliwi, że na sam widok aż zbierało się na mdłości.

A on im zazdrościł. I zazdrościł swoim rodzicom. Zazdrościł wszystkim szczęśliwym parom.

No, no, patrzcie, Luke St. John zakochał się! I upił jak szewc, bo kobieta, której pragnie, zamknęła przed nim swoje serce. Cholerny świat!

Luke wstał i poczłapał do łazienki. Bardzo długo stał pod gorącym prysznicem. Potem połknął cztery aspiryny, popił je czterema filiżankami kawy i poczuł, że powoli zaczyna wracać do życia.

Ułożył się na kanapie w bawialni, wpatrzył w sufit, a po głowie zaczęły mu się snuć luźne myśli.

Ciekawe, ile osób po zobaczeniu wczorajszej wspaniałej ceremonii zdecyduje się na ten wielki krok i weźmie ślub? Czy w biurze Maggie telefon zaczął dzwonić już od samego rana? Bo on na pewno by się do niej zgłosił, żeby mu zaplanowała ślub nad ślubami i...

Luke zerwał się na równe nogi. O to właśnie chodziło. Ma plan!

- Tak! - wykrzyknął, celując pięścią w powietrze.

Maggie spędziła niedzielę, nadrabiając zaległości w papierkowej robocie, potem sprzątnęła dom, poszła po zakupy, ugotowała pracochłonny obiad na kilka dni. Starła się być na tyle zajęta, by nie myśleć.



Obudziwszy się rano, podjęła silne postanowienie, że nie będzie rozmyślać na temat Luke'a St. Johna. Nie będzie od nowa przeżywać pocałunku przed ołtarzem podczas próby ślubu, ani tańca. Nie pozwoli sobie na wspomnienie o tym, jak płonęła, gdy jego usta dotknęły jej ust i gdy tańczyła wtulona w niego.

Odegna nasuwający się jej nieustannie obraz ciemnych oczu, jego gęstych włosów, które aż się prosiły, by wsunęła w nie palce, jego szerokich ramion i tych silnych, choć tak delikatnych rąk.

Przez cały dzień uwijała się jak mróweczka i była bardzo dumna ze swojego opanowania i powściągliwości.

Luke i sukces ślubu Barrington-St. John należą już do historii. Skończone, przeminęło. Teraz musi zwrócić myśli ku przyszłości „Róż i Marzeń”. Miała nadzieję, że wiele osób przeczyta jej karty wizytowe, które podłożyła pod świeczniki na stołach, i wkrótce ludzie zaczną wydzwaniać i zamawiać u niej organizację swoich ślubów.

Następnego ranka Maggie siedziała w pokoju biurowym i ponuro patrzyła na telefon. Odkąd zeszła na dół, nie zadzwonił ani razu.

Była zmęczona, niewyspana, a to wszystko z winy Luke'a. Myślała o nim przez cały wczorajszy dzień, ale na pewno nie zapraszała go do łóżka. A on, gdy tylko wreszcie zdołała się zdrzemnąć, natychmiast nawiedził ją we śnie. Co za natrętny i bezwzględny człowiek! Niech

to lichy! Kazała mu odejść, ale on stał przy jej łóżku jak przymurowany.

Nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Ktoś wszedł do biura. Maggie zerwała się na równe nogi, mało nie przewracając przy tym krzesła.

Nakazała sobie przybrać profesjonalną postawę, wzięła uspokajający oddech, przygładziła bluzkę i poszła do pokoju recepcyjnego.

Otworzyła drzwi i zastygła, zapominając nawet o oddychaniu.

- Cześć, Maggie - powitał ją Luke.

Mam halucynacje, pomyślała przerażona. Ten przystojny *mężczyzna w dżinsach i rozpiętej pod szyją szarej koszuli* to tylko jakaś zjawa.

- Maggie? - Luke podszedł i zmarszczył czoło. - Co się dzieje?

- Ciebie tu nie ma - wyjąkała. - Odejdź, maro! Znikaj!  
- Zaczekała chwilę, a potem, gdy zjawa się nie rozplynęła, ostrożnie, czubkiem palca, dotknęła nieistniejącej piersi Luke'a. Nieistniejącej, ale twardej jak skała. Oczy jej się rozszerzyły, gdy spojrzała mu w twarz. - Ojej, ty naprawdę tu jesteś. Dlaczego?

Luke skrzyżował ręce na piersi, a ramiona mu zadrżały od tłumionego śmiechu.

Och, pomyślał, jak ja kocham tę kobietę. Tak bardzo ją zaskoczyło jego niespodziewane przyjście. A to dobry znak. Bardzo dobry. Gdyby nie wywarł na niej wielkie-

go wrażenia, potraktowałyby jego przyjście z całkowitą obojętnością.

Była poruszona i nie wiedziała, jak to ukryć. Jakie to sympatyczne. Tak bardzo pragnęłaby ją wziąć w ramiona i...

- Panie St. John - odezwała się w końcu. - W czym mogę panu pomóc?

- Mnie już nic nie pomoże - powiedział, a w jego oczach rozbłyły iskiereki wesołości.

- Słucham?

- Nie, nie. Nic takiego. - Luke zmusił się do przybrania poważnej miny. - Owszem, panno Jenkins. Może mi pani pomóc. Rozpaczliwie potrzebuję pani profesjonalnej opinii.

I o to właśnie chodzi, pomyślał, czując nagle, jak po plecach spływa mu strumyczek potu. Zaczyna wprowadzać w życie swój plan. I plan zadziała. Musi zadziałać.

- Mojej opinii? - zdumiała się. - Na jaki temat?

- Ślubów. Muszę zorganizować ślub, cały, od pierwszej do ostatniej chwili. Koszt nie gra roli.

Nie, pomyślała Maggie, czując, jak z jej twarzy odpływa krew. Luke St. John się żeni. Jak może? Przecież wczoraj nawet nie przyprowadził ze sobą żadnej kobiety. Chciało jej się płakać. Łzy już kręciły się pod powiekami.

- Dobrze się czujesz? - spytał Luke, marszcząc czoło. - Nagle tak strasznie pobladłaś. Chodź, usiądziemy na tej ślicznej sofie.

- Ja usiądę na sofie - rzuciła ostro. - A ty usiądziesz w tym fotelu.

Luke uniósł ręce w geście poddania.

- Dobrze, dobrze. Jak sobie życzysz.

Gdy już oboje siedzieli, Maggie wpatrzyła się w nieistniejący pyłek na nogawce swoich białych spodni.

- Luke, muszę powiedzieć - zaczęła - że jestem bardzo zdziwiona. To znaczy, na wczorajszy ślub przyszedłeś sam i... Właściwie jak do tego doszło? Twój młodszy brat jest taki szczęśliwy, więc i ty uznałeś, że musisz się ożenić? I jak wybrałeś narzeczoną? Wrzuciłeś kartki z nazwiskami kobiet do kapelusza i po prostu jedną wyciągnąłeś? - Zamilkła. - Przepraszam. To było niegrzeczne. Bardzo niegrzeczne. - Odchrząknęła. - No, więc chcesz, żebym ci zorganizowała ślub. Doceniam twoje zaufanie. To trochę niezwykle, że sam wszystko załatwiasz, bo tradycyjnie zajmuje się tym narzeczona... No, nic. Każdy postępuje tak, jak mu najwygodniej. Ile osób zapraszasz?

Luke założył nogę na nogę i miło się uśmiechnął.

- Dużo.

- Mógłbyś to sprecyzować?

- Nie w tej chwili. Na razie przyjmijmy, że będzie cały tłum gości.

- A na kiedy planujesz to wielkie wydarzenie?

- Im szybciej, tym lepiej. Ale dokładnej daty nie mogę ci teraz podać.

- Rozumiem. - Maggie zmarszczyła czoło. - Nie, prawdę mówiąc, nie rozumiem. Może i jestem głupia, ale to nie ma najmniejszego sensu. Chcesz, żebym ci zorganizowała

ślub, a potem przyjęcie dla wielkiej, choć nieznannej liczby osób, a wszystko ma się odbyć im szybciej, tym lepiej, ale nie masz pojęcia kiedy.

Luke skinął głową.

- Rzeczywiście. Tak to z grubsza wygląda.

Z ust Maggie wydarł się histeryczny chichot.

- A czy w ogóle jesteś pewny choć jednej rzeczy? Na przykład imienia narzeczonej?

- Och, tak. Jej imię jest jak wyryte w kamieniu.

- To miło - powiedziała żałośnie. — Chodzi mi o t o — Właściwie nie wiem, o co mi chodzi. To wszystko jest bardzo niezrozumiałe.

- Doprawdy? - Na twarzy Luke'a widniał wyraz czystej niewinności. - Chcę, żeby mi zorganizowano ślub, a ty jesteś organizatorką ślubów. - Wzruszył ramionami. - Wydawało mi się, że przyszedłem do właściwej osoby, zwłaszcza po tym, jak widziałem, jaką fantastyczną robotę wykonałaś przy ślubie Ginger i Roberta.

- Ale Ginger wiedziała, czego chce i na kiedy wszystko ma być przygotowane! - wykrzyknęła Maggie. - Zmieniała zdanie w tysiącu spraw, ale w ogólnych zarysach wiedziała. Miało być około trzystu gości, ślub był przewidziany na lato, chciała siedmiu druhen, babeczek orzechowych z migdałami z jogurtową polewą.

- O to ci chodzi... No więc ja nie potrafię podać ci takich szczegółów. Jedno tylko wiem na pewno: nie chcę żadnych migdałów w jogurcie.

- Doskonale. Taka informacja całkowicie mi wystarczy, bym mogła zabrać się do pracy - zakpiła Maggie. Pokręciła głową. - To czyste szaleństwo.

- Maggie, powiedz, ile czasu potrzeba, żeby zorganizować taki ślub, jaki mieli Ginger i Robert?

- Przynajmniej pół roku, i to pracując pełną parą.

- Naprawdę? Aż tyle? Fatalnie. Ale cóż. Jeżeli szybciej nie potrafisz... Powiedzmy, że ślub odbędzie się w Boże Narodzenie. Jak ci to pasuje?

Jasne, pomyślała Maggie, czując, jak rozdziera jej się serce. Wesołych Świąt, Maggie Jenkins. Spędzi święta, patrząc, jak Luke się żeni. Hura!

A jaką to jej robi właściwie różnicę? Czy rozsypie się na kawałki tylko dlatego, że Luke nagle postanowił się ożenić? Przecież z nią osobiście to nie ma nic wspólnego, a jej firmie wyjdzie tylko na dobre.

Więc dlaczego jest taka smutna?

Dlaczego chce się wczołgać do łóżka i płakać?

Nie myśl o tym. Natychmiast przestań, nakazywała sobie. Zachowujesz się po prostu śmiesznie i idiotycznie.

- Maggie! Czy ta data ci pasuje?

- Tak - odparła, patrząc ponad głowę Luke'a. - Ślub na Boże Narodzenie będzie piękny i wyjątkowy. Na zawsze pozostanie w pamięci.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Świetny pomysł, prawda? - oświadczył Luke z entuzjazmem. - Ślub w święta. Bardzo romantycznie, nie uważasz?

- Co takiego? Ach, tak, bardzo romantycznie - przyznała Maggie i westchnęła w rozmarzeniu. - To w ogóle magiczny czas. A jeszcze do tego brać właśnie wtedy ślub! Niczego więcej nie można by sobie wymarzyć.

- No właśnie. - Luke nie odrywał wzroku od Maggie. - Przekażę im dobrą wiadomość.

- Im? To znaczy komu? Waszym rodzinom?

- Nie. Państwu młodym.

- Komu?

Luke strzelił palcami.

- Chyba przedtem nie wyraziłem się jasno. Bardzo cię przepraszam, Maggie. Chodzi o ślub mojego kuzyna i jego narzeczonej.

- Co? - Maggie zamrugwała. - Chcesz powiedzieć, że to nie...

- Najlepiej zacznę jeszcze raz, od samego początku. Mój kuzyn... Clyde...



Jeżu, co za imię! Powinien był wcześniej się nad tym zastanowić. A narzeczona... Do diabła, co tu wymyślić?

Rozpaczliwie rozejrzał się po pokoju i jego spojrzenie padło na obrazek wiszący na ścianie. Przedstawiał wazon z wiązanką małych czerwonych różyczek.

- ... a miłość jego życia to... Rose - kontynuował. - Pracują w Departamencie Stanu i zostali oddelegowani do Londynu.

- Clyde i Rose - powtórzyła Maggie.

- Tak, w każdym razie postanowili, że lepiej będzie pobrać się tutaj, w Phoenix, bo inaczej rodziny ich zamordują. Jednak zostaną w Londynie, jak długo się da, żeby podszkolić swoich następców. Tak więc widzisz, że ślub za pół roku wszystkich urządzi. Jesteś zadowolona?

- Jestem wprost zachwycona! - wykrzyknęła.

Luke się nie żeni. Nie żeni się! Co za szczęście, bo... Właśnie. Bo co? Nie wiedziała, ale czarna, gęsta chmura, która ją otaczała, nagle się rozpuściła.

- Jestem zachwycona, bo... bo to wspaniała wiadomość dla... „Róż i Marzeń”.

- Oczywiście - zgodził się. - A teraz chciałbym postawić sprawę bardzo jasno. Rose jest niezwykłą młodą kobietą. O wiele bardziej wolałaby wyjść za Clyde'a w ratuszu, ubrana zwyczajnie, w dżinsy i koszulkę, ale ani jej matka, ani matka Clyde'a nie darowałyby im tego. Tak więc, gdy rozmawiałem z nimi wczoraj przez telefon, zaproponowałem, że zatrudnię ciebie do zorganizowania tego, a wtedy

oni będą się musieli tylko tu pojawić w odpowiednim momencie. Byli zachwyceni. Rose powiedziała, że zgadza się na wszystko, co postanowisz. A co do Clyde'a, mężczyznom te wszystkie przygotowania są raczej obojętne. To sprawa kobiet.

- Więc twierdzisz, że mam zaplanować ślub i wesele według swoich upodobań? Ale co z ich matkami? Matki nigdy by mi na to nie pozwoliły. Będą chciały same o wszystkim decydować.

- W żadnym razie - zaprzeczył Luke. - One tak się między sobą różnią jak noc i dzień. Gdy tylko się zdarzy, że moja ciotka i mama Rose przypadkiem się spotkają, od razu wybucha wojna. *Przed matkami państwa młodych trzeba zachować absolutną tajemnicę.* Dostaną pocztą zaproszenie, tak jak wszyscy inni goście. Przez chwilę będą się złościć, ale szybko zaczną myśleć o wnuczętach i wszystko skończy się dobrze.

- To jakieś szaleństwo - westchnęła Maggie.

- Nie. I w ten sposób właśnie to zrobimy. - Luke pochylił się w fotelu tak, że jego twarz była oddalona tylko o centymetry od twarzy Maggie, i spojrzał jej w oczy. - Maggie, udawaj, że to twój wymarzony ślub. Zrób wszystko tak, jak tobie by się najbardziej podobało.

- Och... naprawdę? - szepnęła.

- Tak. I jeszcze jedno. Clyde i Rose aż do samego dnia ślubu chcieliby być informowani, co robisz, w razie gdyby matki potem ich pytały, dlaczego coś urządzili tak, a nie

inaczej. Na przykład gdybyś chciała ich pożenić w lecącym balonie, chcą mieć do opowiedzenia wiarygodną historię, jak go wynajmowali i tak dalej. Rozumiesz?

-Ja...

- Dlatego będę stale się z tobą kontaktował, żeby poznać wszystkie szczegóły i móc je im przekazywać. Mój ojciec zgodził się zastępować mnie w kancelarii, żebym miał więcej wolnego czasu, bo Clyde jest jego ukochanym siostrzeńcem. Ojciec jest już częściowo na emeryturze, ale przy tej okazji chętnie przepracuje dodatkowe godziny.

-Ale...

- No, to załatwione, prawda? Pamiętaj, że nie musisz się liczyć z kosztami. Ach, jeszcze jedna sprawa: Rose nosi mniej więcej ten sam rozmiar co ty, więc nie będzie kłopotu z mierzeniem jej ślubnej sukni, to znaczy, jeżeli zaplanujesz tradycyjną suknię. Masz jakieś pytania?

- Ja... nie wiem - wyjąkała Maggie. - Ledwo to wszystko do mnie dociera, bo jest takie... nawet nie potrafię znaleźć słowa, by to określić.

Genialne, podpowiedział jej Luke w duchu. Plan jest genialny. Maggie zorganizuje ślub swoich marzeń. A on urządzi wszystko tak, by móc często się z nią widywać i przy każdej okazji próbować nadkruszyć emocjonalny mur, jaki wokół siebie wybudowała.

I w końcu ona go pokocha tak, jak on kocha ją. Boże, musi się w nim zakochać, chcieć wyjść za niego i spędzić z nim resztę życia. Ach, Maggie, proszę!

- No więc jak? Podejmiesz się tego? - spytał.  
- Tak, oczywiście, że tak.  
- Doskonale. Nawet lepiej niż doskonale. Maggie, dziękuję ci z głębi serca. To znaczy, Rose i Clyde będą ci bardzo wdzięczni. - Luke na chwilę zamilkł. - Rozumiem, że ty nigdy nie chcesz wyjść za mąż, ale przecież musiałaś myśleć o tym, jaki ślub chciałaś mieć, gdybyś jednak... nawet jeżeli... nie zamierzasz wyjść za mąż. Prawda? Czy mówię z sensem?

- Chyba tak - odparła, marszcząc lekko czoło. - Rozumiem, o co ci chodzi. I rzeczywiście, zastanawiam się nad tym za każdym razem, gdy organizuję komuś ślub. To z powodu natury ludzkiej, jeśli wiesz, co mam na myśli. Na przykład, gdy Ginger w końcu zdecydowała się, że jednym z kolorów będzie jasnozielony, nie mogłam się powstrzymać od myślenia, że przy tylu blond druwnach lepszy byłby jakiś ciemniejszy odcień. Oczywiście nic Ginger nie powiedziałam, ale myślałam o tym.

- Właśnie o to chodzi - zgodził się Luke. - O tym właśnie mówiłem. A czy już kiedyś organizowałaś ślub na Boże Narodzenie?

- Nie.

- Więc nie będą na ciebie miały wpływu decyzje innych panien młodych. Będziesz mogła się całkowicie skoncentrować na Clydzie i Rose, prawda?

- „Róże i Marzenia” skupią na ich ślubie całą swoją uwagę - obiecała Maggie.

- Wspaniale. - Luke zmarszczył czoło. - Hm... Kościół. Który byś wybrała?

- Ja? No więc ja należę do Kościoła episkopalnego. ale...

- Doskonale! Czyli możesz zarezerwować ten sam kościół, co dla Roberta i Ginger.

- Jasne. Tak. Okay. Dobry Boże, w głowie mi się kręci. To wszystko jest lekko przerażające, bo jest takie... niezwykle. A co z druhnami? Ich suknie muszą być uszyte na miarę.

- A kogo ty byś wybrała na swoje drużny? - spytał, chcąc zyskać na czasie.

- Ja? Siostrę i moją najlepszą przyjaciółkę.

- Tylko dwie?

Maggie roześmiana się.

- Nie każda panna młoda ma siedem druhen, tak jak Ginger.

- Rzeczywiście. A więc dwie. Przekażę to Rose. Dowiedz się, jakie sukienki chciałyby mieć twoja siostra i przyjaciółka, a potem krawcowa może w ostatniej chwili dopasować je na figury druhen Rose.

- Nie jest to najlepsze rozwiązanie, ale jeżeli jej drużny będą nosiły zbliżony rozmiar, nie powinno być większych kłopotów. Moja siostra, Janet, nosi dwunastkę, a Patty dziesiątkę.

- A ty?

- Ja? Ósemkę.

- Dobrze. Powiem o tym Rose. - Luke zastanowił się, co jeszcze trzeba ustalić. - To by chyba było wszystko- Wiesz,

Maggie, stanowimy dobry zespół. - Spojrzał w jej duże, ciemne oczy. - Bardzo dobry zespół. Ty i ja. Razem.

- Razem... - szepnęła.

Ma zabrać się do planowania ślubu ze swoich fantazji, rozmyślała w rozmarzeniu. Ślubu, którego nigdy nie będzie miała, ale o którym tak często marzyła. A Luke St. John będzie szedł z nią krok w krok po tej drodze, jakby to on był panem młodym, a ona panną młodą. Bardzo dziwaczne.

I bardzo, ale to bardzo niebezpieczne.

Musi twardo stąpać po ziemi przez te wszystkie miesiące, nie pozwolić, by poniosły ją uczucia. To po prostu niecodzienne zlecenie dla „Róż i Marzeń”. Nic więcej.

Panną młodą jest Rose, panem młodym Clyde. Musi o tym pamiętać w każdej chwili.

- No, dobrze - odezwała się tak głośno, że Luke aż podskoczył, i wstała na znak, że spotkanie dobiegło końca. - Jako właścicielka „Róż i Marzeń” chciałbym ci serdecznie podziękować za zaufanie, jakie pokładasz w mojej firmie. Dołożę wszelkich starań, by Rose i Clyde mieli idealny ślub.

- Cieszę się - powiedział Luke, również wstając. - A tak z ciekawości, czy mogę cię spytać, od czego zaczniesz?

- Od wyboru kolorów. Jest tyle szczegółów, które trzeba ustalić, ale najpierw muszę mieć pewność właśnie co do kolorów. - Maggie roześmiała się. - To, że Ginger tak ciągle zmieniała decyzję, bardzo mi utrudniało sprawę.

- Ale tym razem nie musisz się o to martwić - odparł

Luke z uśmiechem. - Będziesz organizowała w pewnym sensie własny ślub.

- Tak, w pewnym sensie. Ale nie naprawdę. No, może częściowo, bo to ja będę decydować, jak wszystko ma się odbyć. Chciałabym tylko wiedzieć... no, zresztą, nieważne. Planowanie tego jedyne, najważniejszego wydarzenia w życiu i tak zajmie mi sporo czasu.

-I tym właśnie ślub powinien być, prawda? Tym najważniejszym wydarzeniem w życiu. Czymś, co zdarza się tylko jeden jedyny raz - powiedział Luke bardzo poważnie.

- Oczywiście. - Maggie westchnęła. - Ale w naszych czasach wiele par nie przejmuje się tym „na zawsze” i „dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

- W mojej rodzinie, jak daleko sięgamy pamięcią, nie było ani jednego rozwodu.

Maggie spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Chyba żartujesz! To niemożliwe.

- Nie żartuję. Wierzę, że St. Johnowie potrafią słuchać swojego serca, wiedzą, co jest słuszne i dobre, więc zakochują się w osobach, które nadają na tej samej fali. Mój tato zakochał się w mojej mamie, gdy byli w siódmej klasie.

- Nadzwyczajne. W siódmej klasie? I w twojej rodzinie nie było ani jednego rozwodu? Po prostu trudno w to uwierzyć. Może jednak niektórym parom było ze sobą źle, ale nie chcieli się rozwieść, żeby nie przełamać tego czaru?

- Nie. Absolutnie nie. Wszystkie małżeństwa bardzo się



kochały. Ginger i Robert też będą się razem starzeli i mimo upływu lat będą tak samo szczęśliwi jak w dniu ślubu. I tak samo będzie z... Rose i Clydeem.

- Jakie to piękne - szepnęła Maggie.

- A jak jest w twojej rodzinie? - spytał Luke.

- My... - wymruczała jakieś niezrozumiałe słowa.

- Słucham?

- Nie, nic takiego - rzuciła szybko. - No dobrze, wszystko ustaliliśmy i mogę się zabierać do pracy. A pierwszą rzeczą będzie wybranie kolorów na ślub w Boże Narodzenie.

- Więc zostawiam cię z tym zadaniem, ale wkrótce się odezwę. Na razie, Maggie, i dziękuję.

- Och, Luke, to ja ci dziękuję. Do widzenia.

Gdy wyszedł, Maggie opadła na kanapę, wzięła głęboki oddech i zaczęła rozmyślać nad tym, co się właśnie wydarzyło. Jej spojrzenie padło na stolik, na którym leżał album ze zdjęciami ze ślubów, jakie organizowała.

Gdy zakładała swoją firmę, postanowiła zawsze trzymać na tym stoliku wazon z czerwonymi różami, które były jej ulubionymi kwiatami. Niestety finanse jej na to nie pozwoliły.

Róże... Będzie miała bukiet z czerwonych róż przyozdobiony gipsówkami.

Nazwała swoją firmę „Róże i Marzenia”, bo ta nazwa miała dla niej tajemne znaczenie. Jej marzenia, chociaż takie zwyczajne, nigdy się nie spełnią. A chciała po prostu

mieć męża, dzieci, dom. Żyć u boku mężczyzny, który by ją kochał i którego ona by kochała.

Róże... Byłaby panną młodą idącą nawą z bukietem róż, które potem zasadziłaby w ogrodzie koło domu. Radowałaby całą rodzinę. Uśmiechnęła się.

A teraz musi wybrać kolory na bożonarodzeniowy ślub. To wcale nie było trudne. Czerwone róże i druhny w ciemnozielonych sukniach, z wiązkami czerwonych i białych goździków.

Świece, którymi zapali tę jedną, symbolizującą związek małżonków, będą białe, a środkowa czerwona.

A jej suknia? Będzie biała jak świeży śnieg, prosta, ale elegancka, z trenem i welonem delikatnym jak mgiełka, welonem, który Luke w odpowiednim momencie uniesie, żeby pocałować pannę młodą i...

- Stop! - wykrzyknęła i zerwała się na nogi. - Natychmiast z tym skończ! Przypomnij sobie, o czyj ślub naprawdę chodzi.

To będzie ślub Rose i Clyde'a. Suknia Rose. Welon Rose. To Clyde pocałuje swoją świeżo poślubioną żonę.

- No, już lepiej - powiedziała jeszcze, siadając z powrotem. - I żebyś się nie ważyła znowu pograżać w te fantazje. Pamiętaj, że planujesz ślub Clyde'a i Rose, a nie swój!

Luke uważnie manewrował swoim autem w potoku samochodów, ale z jego twarzy ani na chwilę nie schodził radosny uśmiech.

Dokonał tego, pomyślał, stukając palcami w kierownicę. Ułożył genialny plan i puścił go w ruch.

Maggie zorganizuje ślub swoich marzeń. Swoich własnych marzeń. I jeżeli wszystko pójdzie tak, jak pragnął i miał nadzieję, ślub się odbędzie. W Boże Narodzenie Maggie Jenkins za niego wyjdzie.

Oczywiście przed nim jeszcze długa droga. Maggie musi się w nim zakochać, tak jak on zakochał się w niej. Ale już nie był jej obojętny. Pociągał ją, niepokoił, coś do niego czuła. Tego był pewny.

I jeszcze musi mu zaufać, pozwolić, by zburzył te obronne mury, którymi się otoczyła. A wtedy sięgnie po nią i *weźmie ją w ramiona... na zawsze.*

Tak, zadanie będzie bardzo trudne, ale Maggie jest warta każdego trudu. Musi zwyciężyć i zwycięży!

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wieczorem Maggie i jej najlepsza przyjaciółka, Patty, siedząc na podłodze w bawialni Maggie i zajadając się pizzą, przeglądały magazyny dla panien młodych.

Przyjaźniły się od pierwszej klasy szkoły podstawowej i teraz, w wieku dwudziestu pięciu lat, żadna nie mogła nawet sobie wyobrazić, że bez wsparcia przyjaciółki zdołałaby uporać się ze wzlotami i upadkami, jakie przynosiło życie.

- Dziwnie jest tu z tobą siedzieć i przeglądać te magazyny - powiedziała Patty. - Wszystko w nich jest takie piękne! Muszę sobie ciągle przypominać, że to nie ty wychodzisz za mąż.

- Wiem. - Maggie westchnęła. - Ale to wyjątkowa okazja. Nigdy nie będę bliżej własnego ślubu niż właśnie teraz. I to będzie taki ślub, jaki wymarzyłabym dla siebie. Nikt mi się nie będzie wtrącał. Ani narzeczona, która najchętniej wzięłaby ślub w dzinsach i podkoszulku, ani matki państwa młodych. Mogę wszystko zaplanować według własnego uznania. Chyba nigdy więcej nie będę miała takiej szansy. Jedyną osobą, której muszę składać sprawozdania, to Luke St. John.

- Luke St. John - szepnęła Patty w rozmarzeniu. - Wi-

działam jego zdjęcia w gazetach. Jaki on przystojny! I seksowny! Pomyśleć, że tańczyłaś w jego ramionach! Musiałaś czuć się jak w niebie.

- Prawie. Fantastycznie tańczy, miałam wrażenie, że płynę na chmurce i... - Nagle na jej policzkach wykwitł uroczy rumieniec. - Ach, skończmy z tym. Posłuchaj, Patty, czy w tych zielonych sukienkach druhny nie będą wyglądały jak prowincuszki? Może powinnam to jeszcze przemyśleć i w doborze kolorów nie sugerować się Bożym Narodzeniem?

- Och, nie! - wykrzyknęła Patty. - Ludzie będą się spodziewać jakichś świątecznych akcentów. Poza tym wszystko ma być tak, jak ty będziesz chciała, prawda?

- No... tak.

- Więc ustalone. Motywem przewodnim są święta, ale nie przesadzaj z tym. A co na to wszystko twoja siostra?

- Janet uważa, że to czyste szaleństwo - uśmiechnęła się Maggie. - Ale jest zachwycona, że tę piękną suknię dla druhny szyje się na jej miarę, nawet mimo że nigdy jej nie włoży.

- A twoja mama? Musi myśleć, że Rose ma nieźle pokręcone w głowie.

- Stan umysłu Rose mało ją obchodzi, natomiast obawia się o mnie. Boi się, że po spędzeniu tylu miesięcy na planowaniu ślubu moich marzeń, popadnę w depresję, bo potem do tego ślubu pójdę nie ja, lecz ktoś inny. I w ogóle martwi ją zawód, jaki sobie wybrałam. Mówi, że moje życie będzie bardzo smutne. Planowanie ślubów ciągle będzie mi przypominało, że... och, sama wiesz.

- Wiem. Niestety chyba nigdy nie uda mi się ciebie przekonać, że nie powinnaś się tak zarzekać.

- Więc nawet nie próbuj. Och, spójrz na to zdjęcie! - Maggie wskazała jeden z magazynów. - Bukiet panny młodej z czerwonymi świeczkami i, na miłość boską, są zapalone!

Parry serdecznie się roześmiała.

- To już przechodzi ludzkie pojęcie! Gorący bukiet, co? Ale, ale, a propos gorąca. Zaraz pomyślałam o Luke'u St. Johnie. Mówiłaś, że to naprawdę miły człowiek, bogaty jak Midas, i na dodatek nie jest snobem?

- Tak. Jest bardzo, ale to bardzo miły.

-I ma poczucie humoru, i kocha swoją rodzinę, i tańczy jak anioł, i jest mu tak samo do twarzy w dżinsach jak w smokingu... Maggie, musisz być bardzo ostrożna podczas nadchodzących miesięcy. Będiesz się z nim często widywać, a on mi wygląda na złodzieja dziewczęcych serc. Nie chciałabym, żeby i tobie je ukradł.

- Wierz mi, ja też bym tego nie chciała - powiedziała poważnie Maggie. - Jestem świadoma jego... zalet. Ale nie bój się, włączyłam czerwony alarm, bariery ochronne są podniesione, drzwi zaryglowane. Nie ma szans, bym się zakochała na zabój w panu St. Johnie. Nie, to się nie zdarzy.

- A teraz - powiedział Luke - muszę tylko sprawić, by Maggie zakochała się we mnie na zabój.

George St. John roześmiał się.

- No, tak. To jest niezbędne, jeżeli chcesz się z nią ożenić, mieć z nią gromadkę dzieci, a potem razem się zestarzeć.

- Właśnie - przyznał Luke i wziął ogromny kęs kotleta.

Siedzieli w klubie George'a. Luke, mimo ciągłych namów ojca, nie zamierzał się tu zapisywać. Już parę lat temu dobitnie wyjaśnił, że nie życzy sobie być członkiem klubu, do którego nie wpuszcza się kobiet.

- Luke, muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem planu, jaki wymyśliłeś. Jest po prostu genialny. I z prawdziwą przyjemnością zastąpię cię w pracy, gdy będziesz prowadził swoją intrygę.

- Bardzo ci dziękuję, tato. Ale pamiętaj, ani słowa mamie. Ona nie potrafiłaby dotrzymać tajemnicy, nawet gdyby od tego zależało jej życie. Poza tym ciągle by mi chciała radzić, jak zdobyć serce Maggie.

- O, tak, na pewno, kochana kobieta, niech ją Bóg błogosławi. - Nagle George głośno się roześmiał, ściągając na siebie niechętnie spojrzenia innych stołowników.

- Przestań - napomniął go Luke - bo zaraz nas stąd wyrzucą.

- Staram się, ale... - Znów zachichotał. - Clyde i Rose?

- Nie pomyślałem wcześniej o imionach fikcyjnych państwa młodych, a u Maggie byłem pod taką presją, że nic lepszego nie wpadło mi do głowy.

- A jak Clyde się nazywa? - spytał George. - Jest jednym z St. Johnów? Clyde St. John. - Znów parsknął śmiechem.



- Tak. No, dobrze, zobaczymy, jak to jest. Matka Clyde'a jest twoją siostrą i wyszła za... Za kogo?

- Za Johna Smitha.

- Bardzo oryginalnie - zakpił Luke. - Ale niech będzie. Więc Clyde Smith żeni się z Rose... Peterson.

- Rose Peterson - powtórzył George z rozbawieniem. - Doskonałe. I ślub w Boże Narodzenie. Bardzo romantycznie. Jaki jest następny krok?

- Muszę się skoncentrować na Maggie i doprowadzić do tego, by pozwoliła sobie się we mnie zakochać.

- Aha.

-Tato, między nami już dzieje się coś wyjątkowego. Wiem, że tak jest. Ona coś do mnie czuje, zależy jej na mnie. Muszę tylko to podsycić, sprawić, by rosło, by zaczęła mi ufać i pokochała mnie tak, jak ja kocham ją, a potem zgodziła się zostać moją żoną i być ze mną na zawsze.

-Aha.

Luke spiorunował ojca wzrokiem.

- Czy mógłbyś powiedzieć coś więcej niż tylko „aha”? Bardzo przydałaby mi się twoja rada.

George odłożył sztućce na talerz i skrzyżował ręce na piersi.

-Miłość to skomplikowana sprawa - zaczął spokojnie. - Ale jednocześnie bardzo prosta. - Pokręcił głową.  
- Trudno to wytłumaczyć. Stawiacie razem solidny fundament i potem, z upływem lat, budujecie na nim wspólne życie. A jednym z kamieni tego fundamentu, Luke, jest

uczciwość. A tymczasem twój plan zdobycia serca Maggie zasadza się na oszustwie.

-Ale...

- Wiem, wiem. - George uniósł rękę. - Jesteś przekonany, że gdybyś zaczął zalecać się do Maggie w konwencjonalny sposób, uciekłyby od ciebie jak najdalej. Rozumiem, dlaczego stworzyłeś sobie właśnie taki plan. Ale czy Maggie też to zrozumie, gdy pozna prawdę? Kobiety nie lubią być oszukiwane. I wtedy cały plan mógłby się zwrócić przeciwko tobie.

- Naprawdę wprawiasz mnie w depresję - powiedział Luke.

- No, szczerze mówiąc, nie widzę, byś miał jakiś inny wybór, niż tylko kontynuować to, co zacząłeś. Ponieważ Maggie nie da się złowić na scenariusz z romantycznymi kolacyjkami, musiałeś wykombinować jakiś inny sposób. I muszę przyznać, że bardzo sprytny. Tylko z imionami narzeczonych ci się nie udało - roześmiał się George. - Luke, pragnę, żebyś był szczęśliwy. I mam nadzieję, że twoje marzenie, by spędzić resztę życia z Maggie, się spełni.

- Dziękuję, tato. Ten plan zadziała. Musi. Nie wyobrażam sobie przyszłości bez Maggie. I zdobędę jej miłość.

O pierwszej po południu następnego dnia Maggie weszła do eleganckiej śródmiejskiej restauracji i natychmiast schroniła się w damskiej toalecie.

Była zdenerwowana i jednocześnie wściekła na siebie za

te nerwy. Luke zadzwonił do niej wcześniej rano i spytał, czy nie sprawiłoby jej kłopotu, gdyby spotkała się z nim na lunchu. Chciał jej opowiedzieć o swojej rozmowie telefonicznej z Rose i Clydeem. Tłumaczył się, że nie może przyjść do niej do firmy, bo czeka na telekonferencję dotyczącą sprawy, którą prowadzi, a po południu musi wprowadzić ojca w bieżącą pracę.

- Och, jasne - powiedziała Maggie na głos, wpatrując się ze złością w swoje odbicie w lustrze. - Lunch? Co za problem?

Rzeczywiście, żaden problem prócz tego, że miała nerwy w godnym pożałowania stanie. I to jest takie głupie. Głupsze niż głupie. Luke jest jej klientem. Tylko tyle. Razem pracują nad zorganizowaniem ślubu jego kuzyna. Koniec. Kropka.

Ale tym, co najbardziej ją upokarzało, był fakt, że wiedziała, czemu perspektywa spotkania Luke'a wprawia ją w takie drżenie. Zeszłej nocy miała szalenie erotyczny sen o nich dwojgu.

- Natychmiast przestań! - nakazała sobie ostro. Odwróciła się na pięcie od lustra i wybiegła z toalety. - Jesteś żaloszna!

Podawała swoje nazwisko hostessie, która zaprowadziła ją do stolika przy końcu sali. Luke na jej widok wstał.

Dzięki Bogu, pomyślała Maggie w oszołomieniu, ma na sobie ubranie. Ładny garnitur. Bardzo prawniczy. A czy ona, w białych spodniach i bluzce w kwiaty, nie wygląda przy nim jak jakaś sierotka? Może powinna była włożyć

garsonkę albo sukienkę? Ale nie chciała odsłaniać nóg...  
Och, już sama nie wiedziała, co ma myśleć.

- Witaj, Maggie - powiedział Luke, uśmiechając się. -  
Miło cię widzieć.

Maggie spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Widzieć mnie? - Pokręciła głową i usiadła. - Tak, oczywiście, widzieć mnie. Mnie też jest miło cię widzieć, Luke. Bardzo mi się podoba twój garnitur. Doskonały. Jestem taka zadowolona, że nosisz garnitur.

Luke zmarszczył czoło.

- Dobrze się czujesz?

- Co? Och tak, oczywiście. - Maggie gorączkowo zajęła się rozkładaniem serwetki na kolanach. - Po prostu źle spałam i... jestem głodna.

- No, temu można od razu zaradzić. - Luke dał znak kelnerce. - Zamów, co chcesz.

Gdy kelnerka podeszła, Maggie zamówiła pierwszą rzecz z menu, jaka wpadła jej w oko. Luke poprosił o stek i frytki.

- Naprawdę jestem ci wdzięczny, że odbyłaś tę całą drogą aż do śródmieścia - powiedział, gdy kelnerka odeszła.

- Nie ma za co. Załatwiłeś już tę rozmowę, na którą czekałeś?

- Rozmowę? O, tak. - Luke napił się wody.

Do licha, jestem okropnie nieudolny w tej całej hecy, skarcił się. Zapomniał o wymyślonym telefonie. Chciał nagiąć trochę swoje szczęście i spotkać się z Maggie w neutralnym miejscu, a nie w jej firmie. Rozmowa międzymia-

stowa byłaby doskonałym pomysłem, gdyby tylko pamiętał, że takiego właśnie pretekstu użył.

- Co chciałeś mi przekazać po tym, jak się skontaktowałeś z Clydeem i Rose? - spytała Maggie.

- Może najpierw spokojnie zjemy lunch, a potem załatwimy interesy? - zaproponował.

- Ale mówiłeś, że przez całe popołudnie jesteś bardzo zajęty.

- Tak, mówiłem. - Rzeczywiście jestem do niczego, zbeształ się Luke. - No więc tak: Rose i Clyde przyjadą do Phoenix w połowie grudnia, czyli ślub w święta będzie w sam raz.

Maggie uśmiechnęła się.

- Świetnie. Skoro to już jest pewne, wybiorę jakieś akcenty świąteczne. Pytałeś Rose o rozmiary sukien dla niej i jej druhen?

- Pytałem. Są dokładnie takie same, jak twój, twojej siostry i twojej najlepszej przyjaciółki.

- Niesamowite! - wykrzyknęła Maggie.

Kelnerka przyniosła potrawy i Maggie ze zdumieniem stwierdziła, że zamówiła łososia z grilla i jarzyny gotowane na parze. Nie były to jej ulubione dania, ale mogło się trafić gorzej.

- A więc - odezwał się Luke, gdy zaspokoiли pierwszy głód - Clyde i Rose powiedzieli, że po podróży z Londynu do Stanów nie chcą od razu znów pakować walizek, żeby jechać na miesiąc miodowy. Według mnie to ma sens.

Maggie spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Nie chcą mieć miodowego miesiąca?

Natychmiast to odkręć, głupku! Wymyśl coś, żeby odwlec decyzję. Bo miesiąc miodowy będą planować razem z Maggie, gdy już przyjmie jego oświadczyzny.

- Pojadą później - wyjaśnił, mrużąc oczy w koncentracji.  
- Tak więc trzeba by poszukać apartamentu dla nowożeńców tutaj, w Phoenix, na kilka dni po ich ślubie.

Maggie skinęła głową.

- Rozumiem. Nie znam tutejszych hoteli, bo moje pary zawsze wyjeżdżały zaraz po weselu. Obejrzę sobie kilka apartamentów i zdam ci sprawozdanie.

- Myślałem, że zwiedzę je razem z tobą. Będę miał czas, gdy tato już przejmie moje sprawy w kancelarii, a jak mówi stare przysłowie, co dwie głowy, to nie jedna. Nie będzie ci przeszkadzało, że chodziłbym tam z tobą?

Oglądać apartamenty dla nowożeńców z Lukiem! Apartamenty na miesiąc miodowy! To nie jest dobry pomysł. Zły pomysł. Bardzo zły. I głupi, i niebezpieczny, i...

- Maggie?

Ale jaki rozsądny pretekst mogłaby wymyślić, żeby się od tego wykręcić? Przykro mi, Panie-Który-Zawrócił-Mi-W-Głowie, ale mogłoby się zdarzyć, że w tak romantycznym otoczeniu zedrę z ciebie ubranie, dokładnie jak w moim śnie. Nie, nie mogę się na to zgodzić.

- Maggie, jesteś jeszcze tutaj? - spytał Luke, pochylając się do niej.

- Co? Och, tak, jasne. Możemy iść razem. Ale nie sądzisz, że to będzie dla ciebie trochę nudne?

- Absolutnie nie. - Luke uśmiechnął się. - Wcale mnie to nie znudzi.

- Dlaczego?

Bo oczami duszy będzie widział ich dwoje w każdym z tych apartamentów, świeżo poślubionych, rozpoczynających swój miodowy miesiąc tutaj, w Phoenix, zanim wyjadą w podróż swoich marzeń. Nie, to nie będzie nudne. Absolutnie nie.

- Dlaczego? - Szybko, wymyśl coś, nakazał sobie. - Bo tak samo jak ty nigdy nie widziałem apartamentu dla nowożeńców, Będę miał okazję dowiedzieć się czegoś nowego. A zawsze, gdy jest okazja do poznania nowych rzeczy, powinno się z niej skorzystać. To robi dobrze na szare komórki. - Poklepał się po czole. - Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Niezupełnie - odparła Maggie - ale wierzę ci na słowo. No, dobrze. Umówię się z dyrektorami hoteli i dam ci znać.

- Świetnie. Będę czekał. I mówiłaś, że już wybrałaś kwiaty na ślub. Można wiedzieć jakie? Albo nie, zaczekaj. Niech zgadnę. - Luke zaczął stukać palcami w stół. - Hm. Nazywałaś swoją firmę „Róże i Marzenia”. Założyłbym się, że panna młoda będzie miała róże, czerwone z jakąś bożonarodzeniową zielenią, i tymi delikatnymi kwiatkami, które wyglądają jak płatki śniegu.

- Gipsówki - podpowiedziała Maggie szeptem.

- Tak, te. Udało mi się odgadnąć?



- Właśnie taki bukiet wybrałam. Ale skąd wiedziałeś?

Luke sięgnął przez stół i przykrył ręką dłoń Maggie. Spojrzał w jej wielkie ciemne oczy, a gdy się odezwał, jego głos był taki... męski. Zadrżała.

- Wiedziałem, bo jesteś Maggie. Moją Maggie. Na zawsze.

- Och. - Zabierz rękę, Maggie Jenkins, mówiła sobie. Ciepło płynące z dłoni Luke'a rozprzestrzeniało się wzdłuż jej ramienia, do piersi, które nagle zaczęły boleć i... Maggie, zabierz tę głupią rękę. Zabiorę, na pewno, kiedyś... - Co takiego? Wiedziałeś dokładnie, jakie kwiaty wybiorę tylko dlatego, że jestem Maggie? To nie ma sensu.

- Dla mnie ma - powiedział, zaciskając mocniej palce na jej ręce. - Tak, dla mnie to ma wiele sensu.

Do stolika podeszła kelnerka.

- Życzą sobie państwo deser?

Maggie spojrzała na kelnerkę.

- Deser - powiedziała, czując, że zaraz zabraknie jej tchu. - Deser to dobra rzecz. Tak, bardzo dobra, ale najadłam się po uszy, więc już nie dam rady. Nie. Dziękuję.

Bingo, pomyślał Luke. Maggie jest zaniepokojona. Był pewny, że gorąco, które sam czuł, trzymając ją za rękę, udzieliło się także jej. Policzki miała delikatnie zaróżowione, a jej głos lekko drżał. Fantastycznie.

- A pan? - spytała kelnerka. - Mamy dziś pyszny tort czekoladowy.

- Prawdziwy mężczyzna nigdy nie odmawia czekoladowego tortu - oznajmił Luke. - Proszę o kawałek. I poproszę

o dwa widelczyki, gdyby pani zmieniła zdanie i postanowiła jednak go skosztować.

- Na pewno się nie oprze - stwierdziła kelnerka. - Zraz wracam.

Po chwili była z powrotem. Postawiła talerzyk z wielkim kawałem tortu na środku stołu, a potem rozłożyła widelczyki, jeden przed Maggie, drugi przed Lukiem.

- Maggie, poczęstuj się - zachęcił ją. - Spójrz na to cudo. Czekolada przełożona bitą śmietaną i te wiśnie opadające po bokach jak skrzący się wodospad. Nie ulegniesz takiej pokusie?

Jak Luke to sprawił, że zwykły opis kawałka tortu brzmi tak zmysłowo? Ten człowiek nigdy nie daje za wygraną, pomyślała żałośnie.

- No, dobrze. Zjem troszkę - zgodziła się. Nabiła na widelczyk kawałek tortu z wielką słodką wisienką. - Mmm, pyszne.

- Och! - wykrzyknął Luke i sięgnął po serwetkę. - Masz tu kropelkę soku.

Pochylił się nad stołem i delikatnie, bardzo delikatnie, musnął serwetką jej usta, a potem spojrzał jej prosto w oczy.

Maggie nie mogła oderwać wzroku od oczu Luke'a. Przecież w tym, że starł jej kropelkę soku z ust, tak jakby była małym dzieckiem, nie ma nic zmysłowego, ale... do licha, to było bardzo zmysłowe. Chyba zaraz zsunie się z krzesła...

- Już dobrze - powiedział cicho. - Tort ci smakuje?

- O, tak - odparła rozmarzonym głosem. - Najlepszy tort, jaki jadłam w życiu. Pyszny.

- No to ja też spróbuję.

Maggie patrzyła, jak Luke nabija porcję tortu na widelczyk, wkłada ją do ust, zamyka usta - te usta, które tak chciałyby całować...

Westchnął, zamknął oczy i rozkoszował się smakiem.

Nie wytrzymam tego, pomyślała gorączkowo. Zaraz zapłonie, spali ją wewnętrzny żar. Nigdy w życiu jeszcze niczego takiego nie doznawała.

Luke odłożył widelczyk i sięgnął przez stół po obie ręce Maggie.

- Maggie... - wyszeptał. - Co ty ze mną robisz? Czym jest to, co narasta między nami? To miłość, Maggie. Prawdziwa miłość, która będzie trwała zawsze. I ty to czujesz. Jestem pewny, że czujesz.

- Nie. Nie czuję - powiedziała, próbując wyrwać ręce, ale Luke tylko zacieśnił chwyt. - No, dobrze, czuję, ale to tylko pociąg fizyczny między dwojgiem ludzi, którzy... czują do siebie fizyczny pociąg. Nazwałabym to żądzą, ale to brzydkie słowo... Luke, możesz puścić moje ręce?

- Za chwilę. Tak więc przyznajesz, że pociagam cię fizycznie?

- No... tak.

- Pragniesz mnie? Pragniesz, Maggie? Żądza to brzydkie słowo. Ale pragnienie to zupełnie co innego.

- To tylko niuanse semantyczne.
- Nie, Maggie, to uczucia. Uczucie jest nieodłączne od pragnienia. Ja szczerze w to wierzę. Problem polega na tym, by wiedzieć, co to za uczucie, co znaczy, a potem odwijać je warstwa po warstwie, jak cudowny prezent.
- To bardzo poetyczne - powiedziała miękko Maggie.
- Nie staram się być poetyczny. Po prostu mówię to, co czuję. Chcę wiedzieć, co ten prezent ma dla nas w zanzardzu. A ty nie?

Maggie uwolniła ręce i pokręciła głową.

- Nie. Nie mogę.
- Dlaczego?
- Luke, ty nic nie rozumiesz.
- Więc wytłumacz mi. Proszę, Maggie. Czego się boisz? Dlaczego tak stanowczo postanowiłaś, że nigdy nie wyjdiesz za mąż? Że będziesz organizowała śluby dziesiątkom panien młodych, ale nigdy dla siebie? Dlaczego wybudowałaś ten wysoki, solidny mur wokół swojego serca? To coś, co dzieje się między nami, mogłoby się stać bardzo ważne, ale gdy tylko o tym mówię, ty natychmiast się cofasz. Powiedz mi, dlaczego. Proszę.

Maggie zacisnęła ręce na podołku i patrzyła na niego przez długą chwilę. Potem powoli skinęła głową.

- Dobrze - zgodziła się, a jej głos lekko drżał- - Może powinnam ci wyznać prawdę o sobie i wyjaśnić, dlaczego żaden z tych ślubów, które organizuję, nie będzie moim ślubem, dlaczego nigdy nie będę panną młodą.

Serce Luke'a waliło szaleńczo.

- To dzieje się w naszej rodzinie od zawsze, a wiemy o tym, bo zdołaliśmy prześledzić jej historię sporo pokoleń wstecz - zaczęła Maggie z namysłem. - Nie ma od tego ucieczki ani powodu, by sądzić, że nie będzie trwało całą wieczność. - Westchnęła. - Och, wielu starało się temu przeciwstawić - moja matka, siostra, brat - ale to po prostu beznadziejna sprawa.

- Mój Boże, Maggie! - wyszeptał Luke z pobladłą twarzą.  
- Czy to jakaś nieuleczalna choroba?

- Nie, nie nazwałabym tego chorobą, chociaż nie ma na to lekarstwa. To się powtarza ciągle i ciągle, nieuchronnie. Jest straszne, łamie serca. A ja nie pozwolę, by to się przydarzyło także mnie. I dlatego nigdy nie wyjdę za mąż.

- Ale co to właściwie jest? Czy to ma jakąś oficjalną nazwę?

- Tak, ma nazwę. Jesteśmy przeklęci. Byłabym szalona, gdybym wierzyła, że mnie ta klątwa ominie, bo tak się nie stanie. Moja matka, siostra, brat, wszyscy oni myśleli, że im się uda, ale... - Pokręciła głową.

- Ale co to jest? - spytał jeszcze raz, pochylając się do niej. - Maggie, nie dręcz mnie! Co to jest?

Maggie wzięła drżący oddech, a potem zamrugnęła, by powstrzymać łzy.

- To... - załkała - to pech Jenkinsów.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chwilę potrwało, zanim to dziwaczne stwierdzenie przebiło się do świadomości Luke'a. Otworzył usta, by coś odpowiedzieć, potem je zamknął i jeszcze raz spróbował przyswoić sobie te słowa.

Pech Jenkinsów? - pomyślał oszołomiony. O czym ona w ogóle mówi? Maggie nie wyjdzie za mąż z powodu jakiegoś tam pecha? Czyżby w naszych czasach ludzie jeszcze wierzyli w takie rzeczy? I na czym polega ten pech? Och, to czyste wariactwo!

Na pewno go nabiera. Zaraz się roześmieje i powie, że żartowała, a potem wyjawi mu prawdziwy powód swojej niechęci do małżeństwa.

Ale Maggie wyglądała teraz jak obraz rozpacz, w jej wielkich brązowych oczach lśniły łzy. Nie, wcale nie żartowała. Mówiła całkiem poważnie!

- Maggie - odezwał się w końcu - musimy porozmawiać o tym... tym czymś Jenkinsów, ale widzę, że jesteś wzburzona, więc chodźmy już stąd. Odwiozę cię do domu i tam pogadamy, dobrze?

- Mówiłeś, że po południu będziesz bardzo zajęty - przypomniała mu.

Pociągnęła nosem, a potem wytarła go w serwetkę.

- Wiesz, po co mamy telefony komórkowe? Żeby szefowie mogli zadzwonić do swoich sekretarek i odwołać umówione spotkania. A ojciec tylko się ucieszy, że ma wolny czas i może iść na partyjkę golfa.

- Ale przyjechałam swoją furgonetką, więc nie możesz mnie odwieźć.

- Potem cię przywiozę po furgonetkę, albo możesz od razu nią jechać, jeżeli czujesz się na siłach. A tej rozmowy nie możemy odłożyć na później.

Maggie poddała się.

- Wiedziałam, że to powiesz. Pojadę swoją furgonetką. Spotkamy się u mnie. - Wstała i wybiegła z restauracji.

Luke rzucił kilka banknotów na stół i wyszedł za nią.

Maggie jechała niemal na oślep. Gdyby tylko mogła cofnąć się w czasie! Nie trzeba było mówić Luke'owi o pechu Jenkinsów. Po co tak się z tym spieszyła?

Gdyby mu nie powiedziała, mogłaby się cieszyć jego towarzystwem aż do ślubu Rose i Clyde'a. A teraz wszystko się skończy. Gdy już mu wyjaśni, na czym polega pech, pewnie zacznie jej unikać, bo jest kobietą przeklętą, tak jak cała jej rodzina.

Po jej policzku spłynęła łza.



- Jest mi tak smutno... - powiedziała na głos, parkując przed domem. - Tak bardzo, bardzo smutno.

Gdy Luke przyjechał, zawiesiła na drzwiach wywieszkę „Zamknięte” i poprowadziła go na piętro, do bawialni. Tam wskazała mu kanapę, sama opadła na bujany fotel i przez długą chwilę w milczeniu się huśtała, wpatrzona w przestrzeń.

- Maggie - odezwał się w końcu Luke. - Nie możesz udawać, że mnie tu nie ma.

- Wiem. - Spojrzała na niego ze smutkiem. - Masz prawo dowiedzieć się, czym jest pech Jenkinsów. - Wzięła głęboki oddech. - Mówiłam ci, że to się ciągnie od wielu pokoleń.

Luke skinął głową.

- W mojej rodzinie wszyscy musieliśmy stawić czoło faktowi, że z niewiadomych powodów nikt z nas nie może być szczęśliwy po tym, jak wybierze sobie partnera. Tak się po prostu nie zdarza. I to właśnie jest pech Jenkinsów.

Luke pochylił się do niej.

- Słucham?

- Słyszałeś.

- Tak, słyszałem, ale nie mogę sobie wyobrazić, że wierysz w pecha, klątwę, czy jak to nazwać, rzuconą na całą rodzinę.

- Ale faktem jest, że ona wisi nad nami jak czarna chmura.

- Maggie, daj spokój. Takie rzeczy nie istnieją. Możliwe, że kilka małżeństw się rozwiódło, ale...

- Wszyscy się rozwiedli.
- Wszyscy?
- Tak. Cofnęliśmy się tak daleko w przeszłość naszej rodziny, jak tylko się dało. Wszyscy się rozwodzili.
- Co za dziwna sprawa - mruknął Luke, odchylając się na oparcie kanapy.
- To właśnie jest pech Jenkinsów - stwierdziła Maggie.
- Nikt nie wie, dlaczego na nas ciąży, dlaczego los nam tak fatalnie potasował karty, ale to fakt. Och, wielu miało nadzieję przełamać klątwę, skończyć z tym raz na zawsze. Byli tacy zakochani, wierzyli, że ich małżeństwo będzie udane. A potem - puf! - wszystko się rozpadało i trzeba było płacić jakiemuś uszczęśliwionemu adwokatowi za poprowadzenie sprawy rozwodowej. Moja matka szła do ślubu z oczami lśniącymi ze szczęścia jak gwiazdy - kontynuowała Maggie. - Ojciec zostawił nas, gdy miałam dziesięć lat. Moja siostra dwa razy się rozwodziła, brat jeden raz. Moi dziadkowie, pradziadkowie... Och, mogę się tak cofać w czasie, zawsze działo się to samo. W końcu musieliśmy uznać, że jesteśmy przeklęci.
- Ale...
- I właśnie z tego powodu nie zamierzam nigdy się zakochać i wyjść za mąż. Nie chcę, by moje marzenia się roztrzaskały, nie chcę mieć złamanego serca. Dlatego organizuję śluby jak z bajki dla innych ludzi... żeby zaspokoić moją romantyczną duszę. Jednak zaczynam się zastanawiać, czy „Róże i Marzenia” to nie był głupi pomysł, bo ta-

ka praca tylko ciągle mi przypomina o tym, czego ja nigdy nie będę miała.

- Ale organizujesz ślub swoich marzeń dla Rose i Clyde'a - zauważył.

- Tak, i chociaż uważam, że to szaleństwo, chcę sobie zrobić taki prezent, zanim zdecyduję, czy mam kontynuować tę pracę, czy nie.

Luke wstał i w zdenerwowaniu zaczął przemierzać mały pokój od ściany do ściany. Ze zmrużonymi oczami zastanawiał się, co ma teraz robić. W końcu stanął przed Maggie, pochylił się i chwycił oparcie fotela.

- Nie! - powiedział.

- Co nie? - spytała świadoma, tak bardzo świadoma tego, że jego usta są tylko o centymetry od jej ust.

- Nie wierzę w to - powiedział. - Może rzeczywiście w twojej rodzinie jest więcej rozwodów niż w innych, ale, Maggie, nie istnieje coś takiego jak klątwa czy pech.

- To samo twierdził drugi mąż mojej siostry - na początku.

- Jesteś inteligentną kobietą. - Luke mówił coraz bardziej nerwowo. - Jak możesz wierzyć w takie bzdury?

- Fakty są faktami. - Też podniosła głos. - Mielśmy nadzieję, że znajdziemy chociaż jedno małżeństwo, które pozostało razem. Ale nie znaleźliśmy. Ani jednego, Luke. Pech jest prawdziwy i nie pozwolę sobie myśleć, że to ja właśnie mogłabym go przełamać, sprawić, że zniknie. Tak już jest i nic na to nie poradzę.

- To niemożliwe - powiedział o wiele za spokojnie. - Pech to przesąd, to... Do licha, to najbardziej frustrująca rozmowa, jaką w życiu prowadziłem!

- Bardzo cię za to przepraszam - parsknęła. - Ale fakty są faktami i nie da się im zaprzeczyć.

- Nie? Jeszcze zobaczymy! - Luke też już był wściekły.

Do tej pory zaciskał ręce na poręczach fotela tak mocno, że pobieleły mu kostki palców. Teraz chwycił Maggie za ramiona, poderwał ją na nogi i... pocałował.

Maggie zastygła w szoku, ale gdy pocałunek stawał się coraz delikatniejszy, gdy Luke po chwili objął ją w pasie i przyciągnął do siebie, wtuliła się w niego. Objęła go za szyję, a palce wplotła w jego gęste włosy.

Pocałunek był coraz gorętszy, wzbudzał jakieś nienazwane uczucia, miał dość mocy, by na tę jedną chwilę odepchnąć w kąt myśl o pechu, a im pozwolić poznać smak, dotyk, samą esencję każdego z nich.

Luke w końcu się odsunął, bo zabrakło mu tchu. Maggie popatrzyła na niego z rozmarzoną miną, jej wilgotne, rozchylone usta znów go wabiły.

- Ach, Maggie - szepnął namiętnie. - Tak bardzo chcę się z tobą kochać. Od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem, ja... Maggie, czy ty też mnie pragniesz? Chcesz się ze mną kochać?

- Tak - szepnęła. - Ale.

- Zapomnij na razie o pechu. Uporamy się z nim później... tak, później. Maggie, nigdy nie chciałbym cię wyko-

rzystać, wywierać na ciebie presji, zmuszać cię do czegoś, czego byś potem żałowała. - Zamilkł na chwilę. - Chyba chcę powiedzieć, że decyzja należy do ciebie.

Tylko jak ona może decydować, skoro w ogóle nie potrafi zebrać myśli? No, już dobrze. Zaczyna odzyskiwać kontrolę nad sobą. Nie będzie zwracała uwagi na to, że jest wtulona w podniecone ciało Luke'a, że on obejmuje ją mocnymi ramionami. Pomyśli. Tak, już myśli.

I pragnie go.

Chce się z nim kochać, bo tak bardzo jej na nim zależy, a jemu tak bardzo zależy na niej. Wiedziała, że tak jest.

I dlatego, że gdy Luke wreszcie uwierzy, że pech Jenkinów to prawda, odepchnie ją. Nie będzie chciał *mieć nic* wspólnego z przekłętą kobietą.

I jeszcze dlatego, żeby mieć to cenne wspomnienie, które będzie musiało jej wystarczyć na całe życie, bo nic więcej jej nie czeka.

- Maggie?

- Luke, kochaj się ze mną - powiedziała miękko, patrząc mu w oczy. - Nie będę żałowała. Obiecuję. Nie ma dla nas wspólnej przyszłości. Ten pech to prawda i muszę się z tym pogodzić. Nic, co byś powiedział albo zrobił, nie zmieni mojej decyzji. Ale teraz? Pragnę cię. Więc proszę, kochaj się ze mną.

Z jękiem, który wydobył się z głębi jego piersi, Luke jeszcze raz przywarł do jej ust w upajającym pocałunku, a ona wtopiła się w niego w całkowitym oddaniu.

Wreszcie Luke uniósł głowę i porwał Maggie na ręce. Wskazała palcem drzwi sypialni. Ruszył tam długimi, stanowczymi krokami.

Postawił ją koło łóżka. Bezwiednie zauważył, że pokój jest bardzo kobiecy. Kapa na łóżku miała wzór z bladoróżowych różyczek, tak samo jak falbanka otaczająca mały okrągły stolik, na którym stał zegar i telefon. Zasłony były różowe, a toaletka z białej wikliny. Maggie odsunęła kapę i kołdrę, odsłaniając pościel w maleńkie pączki różowych róż, a potem odwróciła się do Luke'a.

- Jestem bardzo stremowana - powiedziała. - Nie mam tego rodzaju doświadczenia, a ty na pewno jesteś przyzwyczajony do...

- Cii - szepnął, kładąc palec na jej ustach. - Maggie, zobaczysz, będzie nam cudownie.

Powoli wracali na ziemię z tego ekstatycznego lotu. Luke ostatkiem sił zsunął się z Maggie i przygarnął ją do siebie, nie zdejmując ust z jej wilgotnego czoła. Ona trzymała rękę na jego szerokiej piersi. Pod jej ręką jego serce jeszcze chwilę biło jak szalone, a potem powoli się uspokoiło.

- Dziękuję ci - powiedział Luke.

- A ja dziękuję tobie - szepnęła Maggie - za to, że będę miała piękne wspomnienie.

Powieki jej się zamknęły i zasnęła, szczęśliwa, nasycona, z miłym uśmiechem na ustach. Luke obejmował ją, gładząc delikatnie po jasnych włosach.

Boże, jak ja kocham tę kobietę, pomyślał, czując w piersi dziwny ból. Oddała mu się tak radośnie, tak szczerze. Zależy jej na nim, był tego pewny, może nawet się w nim zakochuje tak, jak on całą duszą pokochał ją.

Nie może jej stracić. Sama myśl o tym to było więcej niż potrafił znieść. Ale teraz znał imię wroga: pech Jenkinsów. Nieważne, że dla niego cała ta sprawa była wariactwem, ważne było jedynie, że Maggie w to wierzy i dlatego postanowiła nigdy nie wyjść za mąż, by chronić swoje serce przed złamaniem.

Pole walki zostało wytyczone. Luke dosłownie walczył o życie, o swoje szczęście, o swoją przyszłość. I zwycięży. Dla siebie, dla Maggie, dla tego wszystkiego, co będą mieli razem, dopóki śmierć ich nie rozłączy i nawet potem.

Zwycięży. Musi.

- Maggie, kocham cię - szepnął, mocniej ją przytulając.
- Jesteś moim życiem. Moją żoną. Jesteś moja.

Godzinę później Maggie przeciągnęła się i otworzyła oczy.

Luke, pomyślała, jeszcze niezupełnie przytomna.

Odwróciła głowę. Luke'a obok niej nie było. Ale zaraz usłyszała szum wody w łazience. Ułożyła się wygodnie i naciągnęła kołdrę pod brodę.

Kochała się z Lukiem. I to było fantastyczne, przekraczało jej najbardziej dzikie fantazje. Czy żałuje tego, co zrobiła? Nie!

Doświadczyła czegoś wyjątkowego z tym niezwykłym



mężczyzną. To będzie jej skarb, który na zawsze przecho-  
wa w sercu.

Luke wrócił do sypialni całkowicie ubrany, włosy miał wilgotne po prysznicu. Usiadł na brzegu łóżka i uśmiechnął się.

- Dobrze się spało?

- Wspaniale - odparła, odwzajemniając uśmiech.

- Jesteś śliczna, gdy śpisz, taka spokojna... - Zamilkł na chwilę i spojrzał na nią z niepokojem. - Maggie, nie żałujesz tego, co się stało?

- Nie, Luke. Nie żałuję. To było cudowne i ja... Nie, nie żałuję. Oboje rozumiemy, że to nie będzie trwało wiecznie, bo moje życie jest, jakie jest... bo ciąży nade mną pech. Wiem, że jeszcze mi nie wierzysz, ale to prawda. Nigdy nie zmienię zdania. To byłoby głupie z mojej strony i tak się nie stanie, chociaż bardzo mi z tego powodu smutno.

- Ach, o tym jeszcze porozmawiamy. A teraz chyba już pójdę. Zawiadomisz mnie, gdy już się umówisz na oglądanie apartamentów dla nowożeńców?

- Tak, oczywiście. Zadzwoń do ciebie.

- Dobrze. - Luke pochylił się i szybko pocałował ją w usta. - Będę niecierpliwie czekał. Zadzwoń jak najszybciej.

- Tak - odparła, czule się do niego uśmiechając.

Luke przesunął palcem po jej ustach, a potem wstał i wyszedł.

- Pa - szepnęła.

Przebiwszy się przez zatłoczone jezdnie, Luke dotarł do swojej eleganckiej kancelarii.

- Dzień dobry, panie St. John - powitała go recepcjonistka.

- Mhm - odpowiedział Luke nieprzytomnie, idąc do swojego gabinetu.

Przystanął przy biurku sekretarki, pulchnej kobiety po pięćdziesiątce.

- Betty, potrzebuję kilku danych - oznajmił. - Proszę, poszukaj ich wszędzie, gdzie się tylko da.

Sekretarka wzięła pióro i notatnik.

- Już zapisuję. Czego szukamy?

- Przesądów.

- Słucham?. Przesądów? Jakich?. Czy to ma jakiś związek ze sprawą, którą teraz pan prowadzi?

- Niezupełnie - odparł Luke, chowając ręce do kieszeni. - Powiedzmy po prostu, że to najważniejsza sprawa, jaką kiedykolwiek przedsięwziąłem, i niech tak zostanie, dobrze? Zaczynaj od przesądów związanych z pannami młodymi, ślubami, weselami i tak dalej, a potem zajmij się przesądami w ogólności.

- Panny młode? Chodzi o takie rzeczy jak *to*, że pan młody może zobaczyć pannę młodą w ślubnej sukni dopiero wtedy, gdy idzie do niego do ołtarza?

- Właśnie. - Luke pokręcił głową. - Czyżby *ktoś* wierzył w takie głupstwa?

- Nie mam pojęcia, ale ten przesąd istnieje od zawsze.  
- Postukała piórem w notatnik. - Dobrze. Mniej więcej

wiem, czego mam szukać w związku ze ślubami. A potem mam się zająć takimi rzeczami jak pech, którego się doznaje, gdy się przejdzie pod drabiną albo gdy drogę przebiegnie czarny kot?

- Tak. O to mi chodzi.
- Na kiedy pan tego potrzebuje?
- Na wczoraj.

Gdy nadszedł wieczór, Luke siedział na kanapie w swojej bawialni i przeglądał stertę notatek na temat przesądów, jaką dostał od sekretarki.

Przy niektórych marszczył czoło ze zdumienia, inne rozśmieszały go do łez. Mimo to czytał uważnie każdy opis, starając się jak najwięcej zapamiętać.

W końcu odłożył papiery na stolik, zaplótł ręce nad głową i wygodnie się wyciągnął.

Plan jest już na etapie realizacji, rozmyślał. Maggie wierzy, że organizuje ślub kuzyna Clyde'a i Rose.

Jednak teraz, gdy już poznał jej tajemnicę i tę sprawę z pechem Jenkinsów, to nie wystarczy. Musi wysilić cały swój prawniczy kunszt, rozbudować plan i doprowadzić do tego, by Maggie sama uznała, że jej pech to zwykły przesąd. Nie będzie łatwo. Przydałaby się jakaś pomoc.

Ojciec! Ojciec mu pomoże. On wie o planie i rozumie, dlaczego Luke musiał go stworzyć.

Spojrzał na zegarek. Do licha! Już za późno na telefon. Trudno, porozmawia z ojcem jutro z samego rana.

O, tak, doskonale. To jest następny krok w bitwie, która przybliży go do wygrania całej wojny.

Luke z powrotem rozsiadł się na kanapie i *i* zadowoleniem się uśmiechnął. Tak, na Boże Narodzenie będzie ślub.

Maggie Jenkins i Luke St. John na zawsze połączą się świętym węzłem małżeńskim, będą mężem i żoną, jedną duszą w dwóch ciałach, partnerami w życiu i partnerami w tym cudzie, jakim będzie ich wielka miłość, trwająca przez całą wieczność.

Moja panna młoda pod choinkę, pomyślał Luke. Moja Maggie.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Maggie spędziła następne dwa dni nad papierkową robotą. To była najmniej przyjemna część obowiązków, więc często marzyła, by było ją stać na sekretarkę.

Westchnęła, czytając po raz kolejny jeden z rachunków. Nic z niego nie rozumiała. A dlaczego? Bo jej myśli wracały ku tamtemu boskiemu popołudniu, gdy kochała się z Lukiem.

Powinna była uporać się z rachunkami za ślub Ginger i Roberta w jeden dzień, a tymczasem jest już późne popołudnie drugiego dnia, a ona jeszcze nad tym siedzi, bo jej myśli ulatują w inne strony.

Nie, dziś nic z tego nie będzie, uznała. Wsparła się łokciem o biurko, brodę ułożyła na dłoni i zatraciła się we wspomnieniach tamtego dnia i w marzeniach.

Jak by to było, gdyby wyszła za Luke'a, gdyby noc po nocy się kochali... Oczywiście małżeństwo to coś więcej. Ona i Luke śmialiby się razem, rozmawiali, razem jedli posiłki, chodziliby po zakupy, dyskutowali o wiadomościach podanych w dzienniku o szóstej. Razem wybraliby swój dom - willę albo mieszkanie, meblowaliby kolejno pokoje, może

nawet czasami sprzeczałyby się, a w razie konieczności szli na kompromis.

I, oczywiście, jeden z tych pokoi byłby pokojem dla dziecka, które ich miłość sprowadziłaby na świat. Czy to byłby chłopiec? A może dziewczynka? Nieważne. Potem, za jakiś czas, zdarzyłby się następny cud narodzin. Luke byłby fa-czworga, czy...

A każdego wieczoru, po tym, jak już poczytaliby małżeństwu bajeczki i zmówili z nimi pacierz, nadchodziłby czas dla dorosłych, czas Maggie i Luke'a. W swoim małżeńskim łóżu radośnie braliby się w ramiona, bo pragnienie nigdy by nie zwiędło, z każdym mijającym rokiem ich miłość stawałaby się coraz głębsza i silniejsza. Ich usta by się spotykały i...

- Maggie?

Spojrzała w kierunku, z którego dochodził głos. Luke. Stał przed biurkiem w całym swoim męskim splendorze.

Jego tu nie ma, powiedziała sobie. To tylko wytwór jej wyobraźni, wyczarowany fantazjami, jakie snuła. Nie, nie ma go tu.

Wstała, chwyciła zjawę za krawat, przyciągnęła ją do siebie i mocno pocałowała w usta.

Ale w chwili, gdy ich usta się spotkały, straszliwie upokorzona uświadomiła sobie, że jednak to nie zjawą, lecz Luke z kr

krzesło. Pragnęła zniknąć, rozplątać się w powietrzu i nigdy więcej już go nie zobaczyć.

- No, no - uśmiechnął się Luke, wygładzając krawat. - Co za powitanie. Ja ciebie też witam, Maggie.

- Cześć - mruknęła, patrząc na środkowy guzik jego koszuli.

- Potrafisz sprawić, by mężczyzna poczuł się jak ktoś wyjątkowy, okazać, że cieszysz się na jego widok.

- Mogę to wyjaśnić - odparła, w końcu decydując się spojrzeć mu w oczy. Ale zaraz westchnęła. - Nie, dajmy temu spokój. Ubawiłbyś się. - Przerwała na chwilę, po czym podjęła: - Pewnie przyszedłeś, bo nie odezwałam się jeszcze do ciebie w sprawie apartamentów dla nowożeńców. Przepraszam cię, ale utonęłam w papierkowej robocie i nie miałam czasu się tym zająć.

- Nie. Przyszedłem, bo tęskniłem za tobą - powiedział Luke, siadając.

- Naprawdę? - Maggie rozjaśniła się w radosnym uśmiechu. Jednak natychmiast udało jej się poskromić tę radość i przyjąć obojętny ton. - Czyżby?

- Tak - roześmiał się Luke. - A sądząc po obecnym stanie mojego krawata, ty też za mną tęskniłaś.

- No... - Maggie zamachała ręką w powietrzu. - Coś w tym rodzaju.

Teraz Luke przyjrzał jej się uważnie.

- Słuchaj, dziwię się, że ubrałaś się na niebiesko, chociaż



dziś jest czwartek. Ale chyba nie posunęłaś się do tego, by brać rano prysznic albo się wykapać?

- Co takiego? - Maggie popatrzyła na swój sweter, potem na Luke'a. - O czym ty właściwie mówisz? - spytała zdumiona.

Luke rozparł się wygodnie w fotelu.

- W niektórych kulturach - wyjaśnił - ludzie wierzą, że niebieski kolor jest symbolem oceanu, morza. Ci ludzie uważają też, że czwartek jest pechowym dniem. Dlatego, kusząc los tym niebieskim swetrem, narażasz się na wypadek w wodzie, może nawet utonięcie.

- To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam! - wykrzyknęła.

- Nie dla tych, którzy w to wierzą.

- Pewnie z trudem można by się ich doliczyć trzech na krzyż. Na miłość boską, Luke, nieodpowiedni kolor, pechowy dzień i tracisz życie? Co za absurdalny przesąd!

Luke tylko wzruszył ramionami.

- Poza tym wzięłam dziś rano długą kąpiel w mojej wspańskiej wannie i jakoś tak się dzieje, że nadal żyję!

- Naprawdę? No, dobrze, może rzeczywiście ten przesąd to jakieś głupstwo - powiedział Luke w zamyśleniu. - Właściwie nie mam dowodów na poparcie jego prawdziwości.

Maggie pochyliła się ku niemu.

- Ten twój krawat, który zgmiotłam, też jest niebieski, nawet w kolorze morza. Brałeś dziś prysznic?

-Tak.

- Widzisz? Ten przesąd to czysty nonsens - oświadczyła.

- A teraz wróćmy do powodu twojej wizyty.

Jeden zero dla mnie, pomyślał uszczęśliwiony Luke.

- Słuchaj, nie przyszedłem po to, by cię popędzać w sprawie tych apartamentów. Po prostu jeden z moich klientów pilnie potrzebował konsultacji, więc musiałem włożyć służbowy garnitur i umówić się z nim na długi, nudny lunch. A ponieważ on wybrał restaurację w pobliżu twojego domu, wpadłem przywitać się z tobą i powiedzieć, że za tobą tęsknię. - Jeszcze raz spróbował wygładzić pognieciony krawat. - I chyba jeszcze po to, żeby poddać krawat torturom.

- Chętnie bym ci go odkupiła, ale obawiam się, że mój budżet na to nie pozwoli. A właściwie ile on kosztował?

- Sto pięćdziesiąt dolarów.

- Sto pięćdziesiąt za jeden krawat? - pisnęła. - Nie wierzę!

- To jedwab importowany z Włoch.

- Czy mogę ci to spłacać w ratach?

Luke roześmiał się.

- Coś ci powiem. Zgodzisz się pójść dziś ze mną na kolację i będziemy kwita.

- Och, nie wiem.

- Jestem w nastroju na pizzę, jeśli nie masz nic przeciwko temu, więc nie musisz się specjalnie ubierać. Tylko nie wkładaj nic niebieskiego, dobrze?

- Pizza będzie doskonała. Ale, Luke, musisz przestać się przejmować tym przesądem, bo to naprawdę głupie.
- Postaram się - obiecał z dramatycznym westchnieniem.
- Przyjdę po ciebie o ósmej. A teraz nie będę ci już dłużej przeszkadzał w pracy. Do zobaczenia.

Luke, nie zatrzymując się przed żadną ze znanych pizzerii, uparcie jechał dalej, na odległy kraniec Phoenix.

- Musisz naprawdę lubić ten lokal - zauważyła Maggie, gdy już usiedli w czerwonej winylowej łoży.

- Dają tu najlepszą pizzę w Phoenix - stwierdził Luke, zerkając na nią.  
- Chcesz?

- Cokolwiek prócz anchois.

-I wodę mineralną?

-Tak.

Po chwili Luke wrócił i położył na stole kwitek.

- Dobrze, że dziś jest czwartek, a nie piątek - stwierdził.

- Mamy trzynasty numer. A zapewne wiesz, że trzynastka i piątek razem nie mogą przynieść nic dobrego. - Znowś spojrzał na zegarek.

- Nie przyniosłyby nic gorszego niż utopienie się w wannie, bo ubrałeś się na niebiesko - powiedziała Maggie sucho. - Luke, co się stało, że tak nagle przejmujesz się przesądami?

- Wcale nie nagle. Zawsze byłem przesądny, tyle że wolę to ukrywać, bo ludzie by się ze mnie śmiali. Ale, widzisz,

Maggie, długo myślałem o tym, co mi powiedziałaś o pechu Jenkinsów. W pierwszej chwili chciałem ci powiedzieć, że to bzdura. Śmiałem się z ciebie, i teraz bardzo cię za to przepraszam. Pech, przesady, zabobony - coś w tym jest. Chcę, żebyś wiedziała, że rozumiem twoją wiarę w waszego rodzinnego pecha.

- Naprawdę? I nie zamierzasz mi tego wyperswadowywać? Mówić, że to stek bzdur? Próbować mnie przekonać, że mogę wyjść za mąż jak każda inna kobieta?

- Nie zamierzam.

- O...

To bardzo dobrze, pomyślała. Po prostu wspaniale. Tylko dlaczego poczuła taki smutek? To, że Luke przyjął do wiadomości istnienie pecha Jenkinsów oznacza, że po ślubie Rose i Clyde'a więcej się nie zobaczą. I tak będzie dobrze. Tylko dlaczego boli ją żołądek? I serce? Do licha, co się z nią dzieje?

- Luke, mój chłopcze! - zagrzmiał za nimi niski głos i Maggie wróciła na ziemię.

- O, tato! Co ty tu robisz? - spytał Luke ojca, który stał przy stoliku.

- Mama miała ochotę na pizzę, więc zamówiłem ją przez telefon i przyszedłem odebrać. To najlepsza pizzeria w Phoenix.

- Tak, i masz szczęście, że mieszkasz tak blisko - zgodził się Luke. - Pamiętasz Maggie?

- Oczywiście. Moja droga, miło cię znów zobaczyć.

- Mnie również miło pana widzieć - odparła Maggie.

- Luke, stało się coś strasznego - powiedział George.

- Och, co takiego? Ojczy, błagam, powiedz mi.

Ojczy, błagam? Co to za styl? - zdziwiła się Maggie. Z jakiegoś powodu wydawało jej się, że Luke i jego ojciec rozmawiają tak, jakby czytali tekst scenariusza.

- Zgubiłem mój kasztan - powiedział George drżącym głosem.

Co takiego? - zdumiała się Maggie.

- Ach, ojczy, chyba już nic gorszego nie mogło cię spotkać!

- Wiem, wiem - przyznał George, kładąc rękę na sercu. - Mamie nie powiedziałem, że pojedę samochodem, nie mając przy sobie kasztana. Bardzo by się o mnie lękała.

-I miałyby powód. Ale nie martw się. Ja zawsze mam przy sobie dwa. - Luke wyciągnął kasztany z kieszeni dzinsów i podał jeden ojcu. - Proszę.

George z widoczną ulgą zacisnął pięść wokół kasztana, potem włożył go do kieszeni i położył Luke'owi rękę na ramieniu.

- Niech cię Bóg błogosławi, synu. A teraz cieszcie się swoją pizzą. Dobranoc, Maggie. Do zobaczenia, Luke - pożegnał się i ruszył do wyjścia.

Kelnerka akurat przyniosła im wodę mineralną. Gdy odeszła, Maggie pochyliła się ku Luke'owi, spodziewając się wyjaśnień ich dziwnego zachowania. Ale Luke rozejrzał się po restauracji.

- Tłoczno tutaj, prawda? Zresztą to całkiem zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że podają...

- Najlepszą pizzę w Phoenix - dokończyła za niego Maggie. - Czy mógłbyś mi wytłumaczyć, co się tu przed chwilą działo?

- Tu? Kelnerka przyniosła nam wodę mineralną - odparł Luke obojętnie. - O, właśnie wywołują jedenasty numer. Zaraz nasza kolej. Nareszcie, bo padam z głodu.

- Luke! - Maggie uderzyła ręką w stół. Luke się wzdrygnął. - Co wy kombinujecie z tymi kasztanami?

- Ach, to. Chyba już wywołują dwunasty numer.

- Luke! - przywołała go do porządku, bębniąc palcami w blat. - Co z tymi kasztanami? O co w tym wszystkim chodzi? Odpowiedz!

- A, kasztany... To bardzo proste. Noszenie kasztana przynosi szczęście. My, St. Johnowie, od zawsze mamy je przy sobie. Od lat. Nigdy nigdzie nie idziemy bez kasztana. Więc sama rozumiesz, że mój biedny ojciec był zdemotywany. Zgubił swój, a nie chciał, by mama się o tym dowiedziała. Ale - uśmiechnął się - uratowałem go, bo ja na wszelki wypadek zawsze mam przy sobie dwa. To takie ubezpieczenie, rozumiesz?

Maggie odchyliła się w krześle i skrzyżowała ręce na piersi.

- Co za głupota - stwierdziła.

- Wcale nie. Gdybyśmy nie nosili kasztanów, prześladowałby nas pech. Przypomnij mi, żebym znalazł też jeden

dla ciebie. No. Wreszcie wywołują trzynastkę. To my. Zaraz wracam.

- Ale... - zaczęła Maggie, jednak Luke'a już nie było.

Czy wszyscy St. Johnowie są tacy przesadni? - pomyślała w oszołomieniu. Inteligentni, wykształceni ludzie, a uważają, że ich los zależy od kasztana? Dziwaczne.

Luke przerwał jej rozmyślania, stawiając na środku stołu wielką, pachnącą pizzę. Potem usiadł i zatarł ręce.

- Wygląda apetycznie. - Uśmiechnął się. - Zabieramy się do jedzenia. Smacznego.

- Tak, ale... Luke, jeśli chodzi o te kasztany... Twój ojciec nie powiedział, że spotkało go coś złego, mimo że nie miał ich przy sobie, prawda?

Luke zjadał z apetytem, więc tylko skinął głową.

- Zatem - kontynuowała Maggie - czy to nie sugeruje, że przesąd dotyczący kasztanów jest bezpodstawny? Że to właśnie tylko zwykły przesąd, sympatyczny i trochę śmieszny, ale niepoparty żadnym dowodem?

Luke wpatrzył się w przestrzeń.

- Może i coś w tym jest. Gdy byłem mały, zostawiłem kiedyś mój kasztan w kieszeni dzinsów i mama je uprała. Z kasztana została tylko papka. Jakiś czas potrwało, zanim znalazłem następny, bo to była nie ta pora roku. I nic złego mi się nie stało oprócz tego, że zawałem dyktando. Ale to była moja wina, bo się nie przygotowałem.

Maggie wzięła kawałek pizzy i uśmiechnęła się z zadowoleniem.



- Widzisz?

- Przemyślę to - obiecał Luke. Och, idzie mu doskonale, nawet lepiej, niż się spodziewała.

Maggie słodko się uśmiechnęła.

- Ta pizza jest naprawdę pyszna. Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś.

- Nie ma za co. - Luke zmarszczył czoło. - To z kasztanami jest trochę niepokojące. Nie mam właściwie żadnych konkretnych dowodów, że taki talizman działa albo nie. Naprawdę przemyślę wszystko. Jeszcze wody mineralnej?

- Nie, dziękuję. I nie bądź dla siebie taki surowy, Luke. Przez całe życie wierzyłeś w ten przesąd, więc teraz trudno by ci było w jednej chwili przestać wierzyć. Moim zdaniem postąpiłeś bardzo szlachetnie - i to jest właściwe słowo - zgadzając się, że to tylko zwykły przesąd.

- Masz rację. I muszę ci podziękować za to, że wykazałaś mi, jaki śmieszny byłem, wierząc w takie bajki. - Zasluguje na Oscara za aktorstwo, pomyślał. - A teraz skupmy się na pizzy. Na dziś dość o przesądach.

- Dobrze. Chcesz porozmawiać o ślubie Rose i Clyde'a?

- O, tak - ucieszył się. - Maggie, nawet nie możesz sobie wyobrazić, ile on dla mnie znaczy.

- No więc zarezerwowałam salę na przyjęcie - zaczęła entuzjastycznie - a w przyszłym tygodniu spotykam się z szefem kuchni, żeby ustalić menu. Ale co z zaproszeniami? Myślisz, że oni będą woleli takie tradycyjne, gdy na

ślub zapraszają rodzice państwa młodych, czy też nowocześniejsze, gdy oni sami zapraszają?

Luke ugryzł kawałek pizzy, by dać sobie chwilę na zastanowienie. Na zaproszeniach nie mogą figurować nazwiska Rose i Clyde'a. Przecież ci ludzie w ogóle nie istnieją. St. John, myśl!

- Eee... może jeszcze trochę się wstrzymać? - powiedział w końcu. - Niech oni sami zdecydują.

- Dobrze. Spytaj ich też, co myślą o ozdobieniu zaproszeń wzorkiem z jagód ostrokrzewu. Moim zdaniem to by nadało im bożonarodzeniowy charakter.

- Przypuszczam, że się zgodzą. Masz na pewno jeszcze setki rozmaitych szczegółów do ustalenia, żeby ślub był taki jak w twoich marzeniach, prawda?

- Tak, i zajmie mi to całe miesiące - roześmiała się. - A potem piętnaście minut i uroczystość się kończy. - Nachmurzyła się. - W naszej rodzinie niektóre małżeństwa właśnie tyle trwają.

Trzeba zmienić temat, nakazał sobie Luke gorączkowo. Nie chciał, by Maggie znów myślała o pechu Jenkinsów.

- Wiesz co? - powiedział. - Nie widziałaś jeszcze mojego mieszkania. Właśnie sobie przypomniałem, że mam w zamrażarce lody miętowe z biszkoptami w czekoladzie. Chciałabyś do mnie przyjść na deser?

- Och, Luke, masz lody i czekoladowe biszkopki?

- Mam.

- Chyba zabraknie mi siły woli, by się temu oprzeć.

- Podejrzewałem, że musisz je lubić. - Luke był wyrażnie z siebie zadowolony. - Widzisz, jak dobrze zaczynam cię znać?

Tak, pomyślała. Zaczynają być sobie bliscy, nadawać na tej samej fali i... Nieważne. Nie będzie teraz o tym myśleć. Teraz czeka ją uczta, miętowe lody z biskoptami w czekoladzie. Życie jest piękne!

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Ach! - wykrzyknęła Maggie, wchodząc do ogromnego salonu Luke'a. - To niesamowite, po prostu nadzwyczajne! Nigdy jeszcze nie byłam w penthousie. I ten widok z okien. Bajeczny! Ja chyba siedziałabym tu godzinami, wpatrując się w światła miasta. Pewnie wieczorem nie możesz się już doczekać powrotu do domu.

Rzeczywiście, tak do niedawna było, pomyślał Luke, patrząc na zachwyconą twarz Maggie. Teraz jednak mieszkanie stało się po prostu pustym miejscem, które czeka, by Maggie wypełniła je swoją radością, śmiechem, po prostu sobą.

- Gotowa na lody?

- Jasne. Mogę zobaczyć kuchnię?

Luke roześmiał się.

- Chodź. To dziwne doświadczenie, widzieć swój dom cudzymi oczami.

Gdy Maggie zachwycała się fantastycznie urządzonej kuchnią, Luke wyjął z zamrażarki lody, a potem sięgnął do szuflady po łyżeczki.

- Cholera! - sapnął, bo jedna mu upadła.

Usiedli przy stole naprzeciwko siebie i Maggie zabrała się do jedzenia. Dopiero po chwili zauważyła, że Luke patrzy gdzieś w przestrzeń.

- Co się stało? - spytała.

- Zastanawiam się, co za dziecko ma tu przyjść, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się Maggie.

- Upadła mi łyżeczka, a to znaczy, że odwiedzi nas dziecko. Widelec sprowadza kobietę, a nóż mężczyznę.

- Co za bzdura! - parsknęła Maggie.

- To prawda. - Luke pochylił się do niej. - W zeszłym miesiącu upadł mi nóż i - bingo - Robert wpadł do mnie bez żadnego powodu oprócz tego, że był akurat w mojej dzielnicy.

- Robert jest twoim bratem. Nic dziwnego, że chciał skorzystać z okazji i zobaczyć się z tobą. To nie ma nic wspólnego z nożem, który ci upadł.

- Och, naprawdę? No więc co powiesz na to: któregoś dnia upadł mi widelec i - możesz mi wierzyć albo nie - zanim jeszcze zdążyłem włożyć wszystkie naczynia do zmywarki, przy drzwiach już dzwonił dzwonek. To była mama, przyniosła mi czekoladowe ciasteczka, które właśnie upiekła. - Chwilę milczał. - Ciekawe, co to za dziecko. Może harcerki sprzedają ciastka albo coś w tym rodzaju?

- Posłuchaj. - Maggie uniosła rękę. - Czy Robert wcześniej nigdy nie przychodził bez zapowiedzi?

- Tak, ale...

- A czy twoja mama nigdy przedtem nie wpadła, żeby ci przynieść domowe ciasteczka?
  - No, tak, ale...
  - A więc widzisz. Masz tu kolejny przesąd, którego powinien się wyzbyc. Przecież to tylko zwykły zbieg okoliczności, że akurat przed ich przyjściem spadły ci sztucce.
  - Tak myślisz?
  - Jestem tego zupełnie pewna. - Maggie wzięła następną porcję lodów. - Pyszne. Jedz, zanim się stopią.
  - Zaczynasz rozbijać w puch wszystkie moje przesady - zauważył Luke.
  - Uważaj, bo mogą zacząć rządzić twoim życiem, jeśli nie będziesz ostrożny.
- Luke roześmiał się.
- Może nie. Bo niektóre dotyczą wyłącznie kobiet. Na przykład ten: jeżeli w miejscu publicznym widać kobiecie majtki, to znaczy, że jej ojciec kocha ją bardziej niż matka.
  - Nie, Luke. To znaczy, że albo ma za długie majtki, albo za krótką spódniczkę.
  - Może i masz rację. Muszę to jeszcze przemyśleć. Ale nie teraz. Teraz nastawię jakąś muzykę. Zaraz wracam.
- Chwilę później, gdy rozległa się muzyka, Maggie zniechęciła się.
- Och, Boże, pomyślała, to walc, który ona i Luke tańczyli na weselu. Piękna melodia przywołała te wyjątkowe chwile, które chciała zachować w pamięci na zawsze. Czy on pa-

mięta, że właśnie przy tej melodii tańczyli, czy też przypadkowo nastawił tę właśnie płytę?

Luke wrócił do kuchni.

- Poznajesz tego walca? Tańczyliśmy go na weselu. Zapytałem dyrygenta, co to za melodia, i kupiłem płytę, żebyśmy mogli jej słuchać, gdy do mnie przyjdiesz.

- Naprawdę? - Maggie poczuła, jak policzki jej zaczynają pałać. - Naprawdę tak zrobiłeś? Oczywiście, że pamiętam, ale pomyśleć, że zadałeś sobie tyle trudu... Nie wiem, co powiedzieć.

Wyciągnął do niej rękę.

- Zatańczymy?

Jak w transie wysunęła rękę na spotkanie dłoni Luke'a, a w następnej chwili już była w jego ramionach. Przytulił ją i w takt muzyki wyprowadził z kuchni do salonu, wypełnionego muzyką płynącą z głośników umieszczonych we wszystkich czterech kątach wielkiego pokoju.

Położyła głowę na ramieniu Luke'a, upajając się jego bliskością, jego zapachem, siłą. Złączeni w jedno, wirowali wokół pokoju.

Było to takie romantyczne, że w oczach zakreśliły jej się łzy, płonęła z pragnienia, nie mogła jasno myśleć.

Gdy walc się skończył, zatrzymali się przed wysokim oknem sięgającym od podłogi do sufitu, z którego rozpościerał się magiczny widok, istna powódź światła miasta. Z płyty rozległ się następny kawałek, ale oni się nie poruszyli, po prostu stali przytuleni. Potem Luke odwró-



cił się do Maggie, łagodnie uniósł jednym palcem jej brodę i pocałował ją.

Pocałunek był tak delikatny i czuły, tak idealny dla zakończenia tego pamiętnego walca, że po jej policzkach spłynęły dwie łzy. Luke pogłębił pocałunek, a ona cała mu się oddała, poruszona do głębi tą chwilą, muzyką i jego bliskością.

Potem powoli, bardzo wolno, położył ją na grubym dywanie, sam wyciągnął się obok niej, wsparł na łokciu i palcem zebrał jej łzy.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał. - Marzyłem, byś była tutaj, w moim domu, byśmy stanęli razem przy tych oknach, przed którymi rozpościera się świat, jakby należał tylko do nas. Ach, Maggie, ja... - Kocham cię całym sercem, duszą, całym sobą na zawsze, na wieczność, pomyślał żarliwie. - Ja... chciałbym się z tobą kochać. Tak bardzo bym tego chciał.

- Tak - szepnęła.

Płynęli gdzieś w przestrzeni, smakując, rozkoszując się, szepcząc swoje imiona. To była czysta ekstaza, wybuch uczuć, jakiego żadne z nich jeszcze nigdy nie doznało. Minęła wieczność, zanim wrócili na ziemię.

Luke zsunął się z Maggie i ułożył się z nią tak, by mogli patrzeć przez okno. Na długą chwilę wtulił twarz w jej pachnące włosy, a potem wsunął sobie jej głowę pod brodę.

Maggie wydała drżące westchnienie, zdusiła szloch, który wyrывał jej się z gardła.

Dobry Boże, pomyślała, kocham go. Jestem zakochana w Luke'u St. Johnie. Nie mogła temu zaprzeczyć, nigdzie nie mogła się ukryć przed tą prawdą, nie miała gdzie uciekać. Kocha go. Był wszystkim, spełniał jej najgorętsze fantazje o znalezieniu mężczyzny, który na zawsze ukradłby jej serce, gdyby rzeczy miały się inaczej. Gdyby nie była przeklęta. Kocha go, ale nie będzie go miała, i to było nieprawdopodobnie smutne.

Ale teraz? Teraz jest jej. Aż do ślubu Rose i Clyde'a. Będzie się radowała każdą sekundą, jaką z nim spędzi, ignorując tykanie zegara, aż do chwili, gdy wybije godzinę ich rozstania.

- To było... - odezwał się Luke i zamilkł. - Nie, nie mam słów.

- Ja też nie - odparła Maggie miękko - ale wiem, że... Luke, nigdy nie zapomnę tych chwil.

- Ani ja. - Roześmiał się. - Nasze lody pewnie się roztopiły.

- To ja się roztopiłam.

Czas przestał istnieć, a oni leżeli nasyceni, w przyjaznym milczeniu, aż wreszcie Maggie westchnęła.

- Chyba zaraz zasnę - powiedziała. - Lepiej wrócę do domu.

- Ach, Maggie, zostań. Proszę. Będziemy spać z głowami na tej samej poduszce, w moim łóżku, a rano zjemy razem śniadanie.

- No, nie wiem...

-Proszę.

Właściwie dlaczego nie? - pomyślała Maggie. Dlaczego sobie tego odmawiać? Była beznadziejnie zakochana w Luke'u. Szkoda już się stała, gdy to wszystko się skończy i tak będzie miała złamane serce. Dlaczego nie wykorzystać każdej sekundy, jaka jeszcze jej została?

- Tak - powiedziała. - Zostanę.

-Dziękuję. - Luke wstał i wyciągnął do niej rękę. - Chodź. Moje łóżko jest o wiele bardziej miękkie niż podłoga.

W sypialni Luke zapalił lampkę na nocnej szafce i odchylił kapę.

-Poczekaj! - zawołał. - Zapamiętaj, z której strony wchodzisz do łóżka, bo rano musisz wstać po tej samej stronie. Inaczej spotka cię pech.

- Znów zaczynasz! - Maggie przewróciła oczami. - To kolejny przesąd St. Johnów?

- No, cóż, przynajmniej nie koncentruję się na jednym, tak jak ty.

- Ale nasz pech jest poświadczony przez całe pokolenia.

- Może i masz rację. Jednak skoro ty zdołałaś w wielkim stopniu podważyć moją wiarę w przesady, wykazałaś, że jest miejsce dla wątpliwości, zastanów się, czy w twojej wierze w waszego rodzinnego pecha też nie znajdzie się jakiś słaby punkt.

- Nie - oświadczyła stanowczo. - Nie zamierzam nawet

brać pod uwagę, że tego pecha można przełamać. Widziałam, jak cierpią ci, którzy myśleli, że to jest możliwe.

- Już dobrze. - Luke na znak poddania podniósł rękę. - Zapomnij, że to mówiłem. Nie chciałem cię denerwować w tę tak cudowną noc. Madame? - zapraszającym gestem wskazał łóżko.

Maggie ułożyła się z westchnieniem zadowolenia.

- Och, jest boskie.

- Zgaszę światła w tamtych pokojach i wyrzucę lody. Zraz wracam.

- Dobrze - mruknęła, ziewając.

Luke roześmiał się i wyszedł. Gdy po chwili wrócił, Maggie spała jak suseł. Ostrożnie położył się obok niej i wsparł się na łokciu tak, by móc na nią patrzeć.

Jaka urocza, myślał. I nareszcie tutaj, z nim, tu, gdzie jest jej miejsce. Gdyby tylko miała na palcu złotą obrączkę, symbolizującą, że jest jego żoną, jego partnerką w życiu!

Ale on jest na dobrej drodze. Odnosi drobne zwycięstwa za każdym razem, gdy Maggie mu wykazuje, że jego przesady są bezsensowne i powinien się ich pozbyć. Zdecydowanie robi postępy.

Dwa tygodnie później Maggie i Luke stali w apartamencie dla nowożeńców na najwyższym piętrze jednego z ekskluzywnych hoteli Phoenix.

- Luke, to jest po prostu okropne! - wykrzyknęła Maggie ze śmiechem. - Łóżko w kształcie serca! Cały pokój w czer-

wieni, meble, nawet pościel. Lśniaca czerwona wanna. Co za kiczowaty wystrój!

- Och, nie wiem - uśmiechnął się Luke. - To chyba zależy od tego, czy lubi się czerwony kolor.

- Dyrektor mówił, że ten apartament ma wielkie powo-  
dzenie. - Maggie pokręciła głową. - Przerazające.

- Owszem. Jest nawet gorszy niż ten, w którym widzie-  
liśmy pluszowe kupidynki. Policzyłem je. Czterdziestu  
dwóch pucołowatych facecików gotowych do wystrzelenia  
strzał. Koszmarne!

- A więc ten apartament też skreślamy. - Maggie spoj-  
rzała na zegarek. - Muszę pędzić. Umówiłam się z Janet  
i Patty w sklepie dla młodych par na pierwszą przymiar-  
kę ich sukienek.

- A ty oglądałaś już suknie ślubne?

- Nie. Jeszcze nie. Ale jestem pewna, że znajdę tam też  
idealną suknię dla... dla Rose, bo mają wielki wybór. To  
ten sam sklep, w którym Ginger kupiła swoją. Tyle że są  
okropnie drodzy.

- Żaden problem. W ogóle nie zastanawiaj się nad kosz-  
tami. Masz limit do nieba albo jeszcze wyższy. Kupuj  
wszystko, co najlepsze.

- Dobrze. Chodźmy już stąd. Ta czerwień przyprawia  
mnie o ból głowy.

- Na pewno nie możesz dziś do mnie przyjść? - spytał  
Luke, gdy szli do drzwi.

- Nie, Luke. Dziś pójdę do mamy. Zjemy razem kola-

cję, pogadamy. Czuje się opuszczona i ma rację. Długo już u niej nie byłam.

- Będę za tobą tęsknił. Tak mi dobrze, gdy mogę zasypiać z tobą każdej nocy i widzieć cię rano, gdy się budzę. To takie przyjemne. Nawet bardziej niż przyjemne.

Maggie nacisnęła klamkę, a potem zawahała się i uśmiechnęła.

- Tak - powiedziała. - Zgadzam się z tobą. To bardzo przyjemne. - Roześmiała się. - A tak przy okazji. Pamiętasz ten przesąd, o którym mi powiedziałeś wieczorem? No więc dziś rano celowo najpierw włożyłam lewy but, a potem dopiero prawy, i nie spotkał mnie żaden pech.

Luke przycisnął ręce do drzwi, żeby Maggie nie mogła wyjść.

- A więc stajesz się ryzykantką?

- Wcale nie. Po prostu te wszystkie przesady są fałszywe. I ty też krok po kroku będziesz odzyskiwał poczucie wolności, gdy każdy z nich zostanie sprawdzony i skreślony z twojej listy. Nie przypuszczam, żebym z tego powodu cokolwiek ryzykowała.

- Ciekawe - powiedział, w zamyśleniu marszcząc czoło.  
- Tak więc twierdzisz, że podstawą przesądów, guseł, wiary w pecha, jest długotrwała głupota?

- No, niezupełnie. Mówiłam tylko o przesadach. Istnieją pewne rodzaje pecha, co do których udowodniono ich prawdziwość.

- A może to nie pech, lecz tylko zła ocena sytuacji? Mia-

łem w college'u kolegę, który twierdził, że ma pecha przy kupowaniu używanych samochodów. Gdy tylko jakiś kupił, okazywało się, że to najgorszy wrak. Wreszcie zrezygnował i powiedział, że nigdy więcej już tego nie zrobi. Jeździł na rowerze, autobusami, taksówkami. Co za niewygodna!

- Ale mądrze postąpił.

- Jednak ja nie uwierzyłem w jego pecha. Namówiłem go, by spróbował jeszcze raz. Poszliśmy razem, obejrzał kilka aut i jedno z nich uznaliśmy za nadające się. Wzięliśmy je na próbną jazdę i pojechaliśmy do innego kumpla, który był mechanikiem samochodowym.

- A on powiedział, że to marny gruchot? - spytała Maggie.

- Wcale nie. Powiedział, że to świetny samochód, przejedzie jeszcze tysiąc kilometrów, więc mój kolega go kupił.

- Naprawdę?

- Tak. Gdy ostatnio widziałem tego kolegę, ciągle jeszcze jeździł tym samym samochodem. Powiedział mi, że ciarki go przechodzą na myśl o tym, jakie niewygodne miałyby życie, gdyby wtedy nie zaryzykował.

-Ale...

- Maggie, przemyśl to. - Luke wycisnął całusa na jej ustach. - No, idziemy, bo się spóźnisz na przymiarki.

- Na co? - spytała nieprzytomnie. - Och! Suknie dla druhen. Muszę pędzić.

Gdy się rozstali, Luke triumfalnie wyrzucił pięść w powietrze. Znow zdobył kilka punktów. Historia o koledze, który uważał, że ma pecha, była po prostu genialna, tym



bardziej że wymyślił ją w jednej chwili. Teraz Maggie będzie się nad tym zastanawiała. A widział, że bajeczka wywarła na niej wrażenie, bo przecież nawet zapomniała o umówionym spotkaniu.

Zmierza w dobrym kierunku. A od tego, czy Maggie porzuci swoją wiarę w pecha, zależy cała jego przyszłość. I jej przyszłość.

- Teraz tylko zafasteryguję dół - oznajmiła krawcowa.  
- Podszyjemy go, gdy druhna przyjdzie na ostatnią przymiarę.

- Och, jak bym chciała być tą druhną - rozmarzyła się Janet. - Taka cudowna suknia. Uwielbiam ten odcień zieleni.

- Parry mówiła to samo - powiedziała Maggie. Siedziała w obitym aksamitem fotelu i popijała herbatę. - Twierdzi, że skazałam ją na prawdziwe tortury, bo każę jej mierzyć piękną suknię, która jednak nigdy nie będzie do niej należała.

- I ma rację - mruknęła Janet. - Jesteś okrutna.

- No, na dziś koniec - powiedziała krawcowa. - Pomogę pani zdjąć suknię.

- Nie, chcę w niej zostać! - wykrzyknęła Janet i roześmiała się. - Czy pozwolilibyście mi na to, gdybym dostała ataku nerwowego?

- Obawiam się, że nie - uśmiechnęła się krawcowa.

Ostrożnie przewiesiła suknię na ręce i wyszła z pokoju.

- Janet - odezwała się Maggie, gdy zostały same. - Czy mogę cię o coś spytać?

- Jasne.

- Czy gdy wychodziłaś za Rogera, wierzyłaś, że to ty będziesz tą, która raz na zawsze przełamie pecha Jenkinsów?

Janet usiadła obok Maggie.

- Chcesz poznać prawdę? No to ci powiem. Tak go kochałam, że byłam ślepa. Nie zwracałam uwagi na sygnały, które powinny mnie zaalarmować.

Maggie odstawiła filiżankę na filigranowy stolik i wyprostowała się.

- Naprawdę? Nie wiedziałam.

- Nikt nie wiedział. - Janet westchnęła. - Wierzyłam, że wpłynę na niego, że przy mnie się zmieni. Odwieczna głupota kobiet. A on lubił hazard, przez całe życie nie potrafił utrzymać się w tej samej pracy dłużej niż rok, mówił, że pieniądze są po to, by je wydawać, i nie ma co przejmować się przyszłością. Nawet gdy urodziły się dzieci, nic się nie zmieniło. To było tak, jakbym miała jeszcze jedno dziecko, którym musiałam się opiekować. Gdy się z nim rozwiodłam, właściwie nikt nie pytał mnie o powody. Rodzina po prostu uznała, że to pech Jenkinsów.

- A twój drugi mąż, Bill? - spytała Maggie. Serce mocno jej biło.

- O, to była prawdziwa klęska. Byłam sama, załamana, śmiertelnie się bałam tego, że zostałam sama z dziećmi i muszę żyć od wypłaty do wypłaty, i rzuciłam się na Billa.

Pół roku później obrzydł mi do cna przez te swoje zdrady. No i drugi rozwód Janet.

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że pech Jenkinsów nie miał nic wspólnego z twoimi rozwodami?

- Tak było łatwiej. Po co mówić wszystkim, że byłam taka głupia, popełniłam idiotyczne błędy i teraz za to płacę? Cała rodzina tak bardzo mi współczuła, bo zostałam kolejną ofiarą pecha, więc wolałam trzymać buzię na kłódkę.

- Czyli właściwie nie wierzysz w pecha Jenkinsów? - spytała Maggie, wstrzymując z napięcia oddech.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Czy to pech powoduje, że nikomu z nas nie wiedzie się w małżeństwie? A może to nie pech, tylko wszyscy przy wyborze partnera popełniamy błędy w ocenie? - Janet przyjrzała się uważnie siostrze.

- A dlaczego pytasz? Od lat nie rozmawialiśmy o pechu.

- Ja... pytam, bo... - płątała się Maggie. - O, właśnie. Z powodu mojej firmy. Chodzi o to, że cały czas mam do czynienia ze szczęśliwymi pannami młodymi i... Mama uważa, że nie powinnam była otwierać tego rodzaju interesu, bo to mi tylko ciągle przypomina o tym, czego ja nigdy w życiu nie będę miała. Ona naprawdę wierzy w naszego pecha. A prowadzenie mojej firmy powoduje, że myślę o tym więcej, niż gdybym jej nie miała.

- Maggie, nigdy nie umiałaś kłamać. Siostrzyczko, co się z tobą dzieje? No, mów.

Maggie gwałtownie wstała.

- Nie mam nic do opowiadania. - Spojrzała na zegarek.

- Och, jak późno. Muszę iść. Szczegóły, szczegóły - lista spraw do załatwienia przed ślubem ciągnie się w nieskończoność.

- Przed ślubem, jaki ty sobie wymarzyłaś - dodała Janet i też wstała.

- Opowiadałam ci, w jakiej sytuacji są Rose i Clyde. Ale tak, to będzie taki ślub, jaki ja bym miała, gdyby nie pech. A ty teraz mówisz, że może on wcale nie istnieje i... - Uderzyła się ręką w czoło. - Przez to wszystko głowa mi już pęka.

- Maggie, niezależnie od tego, co mówi mama, nie ma sposobu, by udowodnić, że pech jest prawdziwy.

- Ale wierzymy w niego od zawsze. Nie możemy udawać, że go nie ma. Przecież w całej historii rodziny nie było ani jednego szczęśliwego małżeństwa!

- Tyle że dla każdego rozwodu mogłoby istnieć jakieś wyjaśnienie, tak jak istnieje wyjaśnienie dla moich dwóch. A jeśli chodzi o mamę i tatę? Pech? Maggie, daj spokój. To był klasyczny przypadek faceta, który dostał bzika na punkcie seksownej sekretarki i myślał, że przy niej może odzyskać młodość. Więc rzucił żonę i troje dzieci i odszedł. To nie pech, to nawała hormonów.

-Ale...

- Nie wiem - powiedziała Janet, załamując we frustracji ręce. - Może któregoś dnia ktoś z Jenkinsów pozostanie w szczęśliwym związku małżeńskim przez pięćdziesiąt lat i pech zniknie. Prawdziwa miłość ma wielką moc. Może

tym pierwszym Jenkinsem będzie któreś z moich dzieci?  
A może to będziesz ty?

- Ja? - Głos Maggie zabrzmiał jakoś dziwnie piskliwie. -  
Na pewno nie. Nie jestem wystarczająco odważna, by testować na sobie naszego pecha. Wolę nie ryzykować. Nie chcę mieć złamanego serca. Nie. Ja na pewno nie.

- A jeżeli się zakochasz?

Już się zakochałam, pomyślała. Ale muszę się pogodzić z tym, że mój czas z Lukiem St. Johnem potrwa tylko do ślubu jego kuzyna.

- Lepiej zmieńmy temat - powiedziała. - Chcesz usłyszeć coś śmiesznego? Istnieje taki przesąd, że gdy zobaczysz karetkę pogotowia, musisz zacisnąć palcami nos i tak trzymać, dopóki nie zobaczysz czarnego psa, bo inaczej spotka cię coś złego.

Janet roześmiała się.

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam.

- Wiem. A posłuchaj tego. Złota rybka w basenie w ogródku przynosi szczęście, ale ta sama złota rybka trzymana w akwarium w domu sprowadza nieszczęście.

- Skąd bierzesz takie bzdury?

- A jeżeli swędzą cię podeszwy, czeka cię podróż - kontynuowała Maggie.

- Mnie zaraz czeka podróż do domu - stwierdziła Janet - zanim wylejesz na mnie jeszcze więcej tych bzdur. - Przesady są takie głupie.

- A wiara w pecha? - spytała Maggie, nagle poważniejąc.

- Czy wiara w pecha Jenkinsów jest tak samo bezsensowna jak te przesady, o których ci opowiedziałam?

Janet westchnęła.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Ktoś w naszej rodzinie musi się zakochać, wysłuchać, co mówi jego serce i... do licha! Patrz, jak już późno. Muszę pędzić po dzieci. - Uści-  
skała Maggie. - Dziękuję, że pozwoliłaś mi zagrać Kop-  
ciuszką w tej pięknej sukni. Pa.

- Pa - odpowiedziała Maggie i z powrotem opadła na fotel.

Mam w głowie całkowity mętlik, pomyślała.

Tak, zakochała się w Luke'u. Ale nie może, po prostu nie może zaryzykować tylko po to, by odkryć, że jednak ta klątwa wisząca nad rodziną jest prawdziwa. Z drugiej strony Janet twierdzi, że jej dwa nieudane małżeństwa nie mają nic wspólnego z pechem. Tyle że...

- Proszę pani - odezwała się od progu krawcowa.

- Słucham. - Maggie ucieszyła się, że przerwano jej tę gonitwę myśli.

- Czas ucieka i nawet się nie obejrzymy, a nadejdzie dzień ślubu. Czy pani chce dziś obejrzeć nasze piękne suknie dla panien młodych?

- Nie, nie dzisiaj. - Maggie poczuła w sercu ból. - Jestem wykończona.

- Rozumiem - odparła krawcowa. - Ale zajmie się pani tym wkrótce, prawda?

- Tak - odparła Maggie cicho.

Będę miała swoje pięć minut, tak jak Kopciuszek, a potem zdejmę suknię i zacznę odliczać dni do chwili, kiedy będę musiała pożegnać się z Lukiem i znów być zwykłą Maggie Jenkins. Samotną Maggie Jenkins.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W następnych tygodniach Maggie czuła się tak, jakby w jej ciele przebywały dwie zupełnie różne osoby.

Jedna była beztroska, szczęśliwa i bardzo zakochana w Luke'u, ciesząca się każdą chwilą, jaką spędzali razem. A tych chwil było wiele. Często szli do restauracji na kolację i potem do kina, innym razem brali kosz z lunchem i urządzali sobie pikniki, pływali łódką w parku Encanto, spacerowali po deptakach i robili zakupy, uczęszczali na interesujące wykłady w Uniwersytecie Stanowym Arizony. Razem gotowali - co prowadziło do radosnych katastrof - i ustalali szczegóły ślubu i wesela Rose i Clyde'a.

Drugą Maggie za każdym razem, gdy patrzyła na kalendarz i widziała, jak czas ucieka, porażała rozpacz.

Uczcili specjalną kolacją dzień, w którym wreszcie wybrali apartament dla nowożeńców, w tym samym hotelu, w którym miało się odbyć weselne przyjęcie. Apartament był urządzone w dobrym guście, rozciągał się z niego wspaniały widok na światła miasta, obok sypialni znajdowało się jacuzzi, a w salonie kominek.

Rose i Clyde'owi na pewno się spodoba, ale serce Mag-

gie aż drżało z bólu, że to nie świeżo poślubieni państwo St. John przyjdą tu po weselu.

Jej życie, pomyślała kiedyś, nadaje całkiem nowe znaczenie staremu powiedzeniu o śmiechu przez łzy.

Na automatycznej sekretarce Maggie prawie codziennie pojawiała się wiadomość od krawcowej, przynagląca do wyboru sukni dla panny młodej. A Maggie wymyślała coraz to inną wymówkę, żeby tylko nie iść do sklepu, bo bała się, że przepłacze cały ten czas. Potrafiła zalać się łzami na samą myśl o wyborze sukni i przymierzaniu jej. Bo przecież to nie ona pójdzie w niej do ślubu.

Ginger i Robert wrócili z podróży poślubnej i wybrali się we czworo na kolację. Widząc, jak jaśniejają szczęściem, Maggie musiała przyznać sama przed sobą, że zżera ją zazdrość.

Gdy październik dobiegał końca i wystawy sklepowe były pełne strojów na Halloween, Maggie po raz kolejny przypomniała Luke'owi, że już najwyższa pora zamówić zaproszenia na ślub, jeśli chce, by zostały wydrukowane na czas.

- Luke - powiedziała któregoś wieczoru, gdy oglądali film na wideo w jej malutkiej bawialni - kiedy wreszcie uzgodnisz z nimi tekst, jaki ma figurować na zaproszeniach?

- Zadzwonię do nich - obiecał, nie odrywając oczu od ekranu.

- Kiedy? - nalegała. Nie miała prawa go popędzać, bo sama jeszcze nie wybrała ślubnej sukni. Ale, oczywiście, Luke o tym nie wiedział. - Musimy wysłać zaproszenia w takim

terminie, by ludzie mogli odpowiedzieć, czy przyjdą. Bez tego nie zdołam ustalić, ile jedzenia i napojów przygotować na przyjęcie. - Popatrzyła na niego. - Luke, czy ty w ogóle mnie słyszysz?

- Co? - Popatrzył na nią, potem z powrotem na ekran.  
- Jasne, słyszę cię. Zajmę się tym. Zadzwoń do nich jutro. .. albo pojutrze.

- Obiecujesz?

- Maggie, popatrz tylko na ten samochód Jamesa Bonda. Ma największe koła, jakie w życiu widziałem. Wszystko jedno, ile razy oglądam te filmy, zawsze dostaję bzika na punkcie jego samochodów. One to mają zryw!

- Mhm - mruknęła Maggie.

- Gdyby w Detroit kiedyś zaczęto je produkować, byłbym pierwszy w kolejce do kupna.

- Luke - powiedziała Maggie spokojnie. - Zaczynam mieć wątpliwości co do pecha Jenkinsów.

- Tak? To dobrze. Zamówiłbym sobie czerwony, z chromowymi okuciami tak lśniącymi, że... - Luke nagle zamilkł, zastygł bez ruchu, a potem gwałtownie odwrócił głowę od ekranu i spojrzał na Maggie. - Co ty powiedziałaś?

- Nic... - Machnęła ręką. - Nie zamierzałam mówić na głos. Po prostu mam taką gonitwę myśli, że mi się wymknęło.

Luke chwycił Maggie za ramiona.

- Powtórz to! Proszę, powiedz to jeszcze raz. Masz wątpliwości co do waszego pecha? Nie masz pojęcia, jak bardzo chcę to usłyszeć!

- Kiedy sama już nie wiem, co myśleć - powiedziała. -  
Gdy próbuję zastanawiać się nad tym, czuję się jak chomik  
w kołowrotku i nie dochodzę do żadnych wniosków.

- Mów dalej - poprosił.

- Mama opowiedziała nam o pechu po tym, jak ojciec  
nas opuścił - mówiła Maggie, a głos lekko jej drżał. - Wy-  
rastałam, wierząc w niego, zwłaszcza po tym, jak zapozna-  
liśmy się z historią rodziny. Ale ostatnio rozmawiałam z Ja-  
net o obu jej małżeństwach i po raz pierwszy powiedziała  
mi, że nie jest całkowicie przekonana, czy naprawdę roz-  
padły się z powodu pecha. Zaczyna się zastanawiać, czy  
przypadkiem nasze rodzinne klęski małżeńskie nie są spo-  
wodowane złą oceną kandydatów na współmałżonka. Och,  
może to właśnie z powodu pecha niewłaściwie ich ocenia-  
my. Ale Janet czuje, że można udowodnić, że nie ma czegoś  
takiego jak pech Jenkinsów, jeżeli któreś z nas zakocha się  
prawdziwie, szczerze i na zawsze, i będzie żyło w szczęśli-  
wym małżeństwie do końca swoich dni.

- Tak! Ma rację! Słusznie myśli. Wspaniale! - słowa wy-  
pływały strumieniem z ust Luke'a. - Masz bardzo mądrą  
siostrę.

- Ona ma taką nadzieję, że może jedno z jej dzieci udo-  
wodni, że nie ma czegoś takiego jak pech Jenkinsów, albo  
że to mogłoby chodzić....

- Mogłoby chodzić? - przynaglił ją.

- O mnie - szepnęła.

- Maggie, tak, to na pewno chodzi o ciebie! - wykrzyk-

nał Luke radośnie. - Maggie, tak cię kocham. Jestem całkowicie, absolutnie i na zawsze zakochany w tobie. Chcę się z tobą ożenić, mieć z tobą dzieci, budzić się rano i widzieć cię obok siebie. Ciebie. Moją żonę.

- Och... - wyszeptała Maggie i załkała.

- Maggie, kochasz mnie? Powiedz.

- Tak. Tak, Luke, kocham cię, bardzo cię kocham. Nie chciałam się w tobie zakochać, nie zamierzałam, ale tak się stało. Ciagle jeszcze niepokoi mnie sprawa z tym naszym pechem, bo wtłoczono mi to do głowy, gdy byłam małą dziewczynką. I teraz w jednej chwili myślę, że już w niego nie wierzę, a w następnej boję się i... Mam straszny mętlik w głowie. Ale wiesz, co mi dodaje odwagi? Co jest dla mnie liną ratunkową? Ty. Ty i twoje przesady. Jak mówisz, twoja rodzina wierzyła w nie od zawsze, a mimo to ty tak bardzo chcesz się od nich uwolnić, więc ryzykujesz, że może ci się stać coś złego, bo włożyłeś w nieodpowiedniej kolejności buty albo zapomniałeś zabrać ze sobą kasztan, czy też... Jesteś taki odważny, taki silny, tak bardzo pragniesz iść do przodu i odrzucić wszystkie te absurdalne przesady i...

Luke nagle pobladł. Ręce, którymi do tej pory trzymał Maggie za ramiona, bezsilnie opadły.

- Jeżeli ty możesz się zdobyć na taką odwagę - zakończyła Maggie, a po jej policzku spłynęła łza - ja też będę odważna, nie będę się ukrywała za swoimi lękami, za moją wiarą w pecha Jenkinsów.

- Maggie. Posłuchaj - powiedział Luke drżącym głosem.

- Muszę ci coś wyznać. Ale gdy to usłyszysz, pamiętaj, że się kochamy. Naprawdę się kochamy. Mamy przed sobą cudowną przyszłość, która zacznie się, gdy tylko zostaniemy małżeństwem. Będiesz o tym pamiętała?

- Tak, będę. Luke, co się dzieje? Stałeś się nagle taki... Co chcesz mi powiedzieć?

Luke wstał, obszedł pokój, potem znów usiadł i wziął ją za rękę.

- Maggie, moja ukochana Maggie - zaczął, patrząc jej w oczy - ja nigdy,.. nigdy nie wierzyłem w te przesady.

- Słucham?

- O większości z nich nawet nigdy nie słyszałem. Moja sekretarka znalazła je w Internecie.

- O czym ty mówisz? Nie rozumiem.

- Byłem zrozpaczony! - wykrzyknął, potrząsając *jej* rękami. - Nie wiedziałem, jak dotrzeć do ciebie, jak zburzyć ten mur, którym się otoczyłaś w obronie przed pechem Jenkinsów. Myślałem, że jeżeli bez przerwy będziesz widziała, jak odrzucam przesady, w które rzekomo wierzyłem przez całe życie, pomyślisz, że mogłabyś tak samo odrzucić wiarę w swojego pecha.

- Nie wierzyłeś, że hodowanie złotej rybki w domu przynosi nieszczęście?

- Maggie, w dzieciństwie miałem koło łóżka całe akwarium złotych rybek.

- Ty... ty kłamałeś? O tych wszystkich przesadach? Przez cały ten czas karmiłeś mnie kłamstwami?

- To niezupełnie były kłamstwa. To był mistrzowski plan, jaki sobie wymyśliłem, żeby zdobyć twoją miłość, odesłać w zapomnienie pecha Jenkinsów, żebyśmy mogli na zawsze być razem. Ojciec mi pomógł. Wiesz, tego wieczoru w pizzerii, gdy mówił o kasztanie, i...

- Nie wierzę - sapnęła. - I co jeszcze mi powiesz? O czym jeszcze kłamałeś?

- Wolałbym, żebyś nie używała tego słowa - skrzywił się Luke. - To był plan. Plan. - Wziął głęboki oddech, a potem powoli wypuścił powietrze. - O ślubie - powiedział.

- Jakim ślubie?

- Rose i Clyde'a.

- Co z nim?

- Nie ma... nie ma Rose i Clyde'a. Ja ich wymyśliłem. Musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby być z tobą po tym, jak na ślubie Ginger i Roberta w jednej chwili skradłaś mi serce. Więc stworzyłem plan. Miałaś zaplanować ślub swoich marzeń, a ja chciałem na każdym kroku towarzyszyć ci przy jego organizowaniu. Miałem nadzieję, że zakochasz się we mnie tak, jak ja w tobie, i wszystko byłoby gotowe na taki ślub, o jakim zawsze marzyłaś.

- To dlatego zwlekałeś z zaproszeniami na ślub Rose i Clyde'a. - Maggie z trudem mogła wydobyć z siebie głos. - Nie mogłeś ich spytać o tekst, bo oni nie istnieją. I... i... nie wybieraliśmy apartamentów na ich miesiąc poślubny. Wybieraliśmy je dla.

- Dla nas. Chciałem, żeby nasz ślub był idealny, dokład-



nie taki, jakiego pragnęłaś dla siebie. I byłby taki, bo to ty dopilnowałabyś wszystkich szczegółów zgodnie ze swoją wolą. Zrobiłem to dla nas. Dla ciebie. - Luke nerwowo przeczesał ręką włosy. - Maggie, proszę, powiedz, że rozumiesz, że zrobiłem to wszystko z miłości do ciebie.

- Przede wszystkim zrozumiałam jedno - powiedziała, wstając i ciasno obejmując się ramionami. - Zrozumiałam, że jesteś kłamcą. Podłym kłamcą. Oszukałeś mnie. Och, jak musiałeś się śmiać, zdając ojcu sprawozdanie z wielkich postępów we wprowadzaniu w życie twojego wspańskiego planu.

- Nie, to nie było tak! - zawołał. - Osiągnąłem cel, bo zaczynasz mieć wątpliwości co do tego, że twoją rodzinę prześladowuje pech...

- Nie. Nie mam żadnych wątpliwości - przerwała mu.

Uniosła buntowniczo brodę, nie zwracając uwagi na dwie łzy, które spłynęły jej po policzkach.

- Słucham? - wyszeptał Luke, zrywając się na nogi.

- Nie mam żadnych wątpliwości co do pecha Jenkinsów - powtórzyła dobitnie. - Jak mogę je mieć, skoro stałam się jego najnowszą ofiarą? - Głos Maggie drżał. - Zakochałam się w nieuczciwym mężczyźnie, kłamcy, intrygancie, graczu, w cholernym planiście!

- Nie! Zakochałaś się w mężczyźnie, który tak bardzo cię kocha, że zrobiłby wszystko, byle tylko zdobyć twoją wzajemność. Kłamstwa? Nie, to nie były kłamstwa. No dobrze, w pewnym sensie, ale...

-Zabieraj się stąd - powiedziała Maggie, zaciskając ręce na ramionach. - Zabieraj się z mojego domu i mojego życia.

- Maggie, nie! Nie rób nam tego. Nie każ mi odejść. Kochamy się, mogłoby nas czekać cudowne życie. Przesady nie są prawdziwe, nie istnieją. Jesteś wolna i możesz kochać... mnie.

Luke wziął drżący oddech i wyciągnął rękę do Maggie.

- Proszę - błagał. - Wyjdź za mnie. Proszę cię.

Maggie nie miała już siły ustać na nogach. Osunęła się na kanapę, w gardle narastał jej szloch.

To się nie dzieje, mówiła sobie gorączkowo. Och, proszę, to nie może się dziać. Luke zabawiał się w jakieś gierki z nią, z jej uczuciami. Nie ma Rose i Clyde'a? Jak ludzie tak realni mogą nie istnieć? I wszystkie te głupie przesady stanowiły tylko element wstrętnego, podłego planu?

Jak Luke mógł jej to zrobić? Kłamał dzień po dniu, noc po nocy, kłamał, gdy się kochali? Nie jest taki, jak jej się wydawało. Jest kłamcą i oszustem.

- Maggie?

- Zostaw mnie samą - wycodziła i zakryła twarz rękami.

Luke skulił się jak człowiek ugodzony w samo serce. Przegrał tę wojnę. Walczył dzielnie, wygrał kilka potyczek, ale ostatecznego zwycięstwa nie osiągnął. Maggie każe mu odejść.

Znów ukryła się za murem, kurczowo trzymając się wiary w rodzinnego pecha. To koniec. Nie pozostało mu już

nic do zrobienia. Jedyna kobieta, jaką w życiu kochaś nie będzie do niego należała. Teraz już rozumiał, czym jest złamane serce. To najgorszy ból, najstraszliwsza strata, jakiej można doznać.

- Przepraszam - powiedział. - Za nic nie chciałem, żebyś przeze mnie płakała. Nie chciałem cię zranić. Zrobiłem to wszystko z miłości do ciebie, żebyśmy mogli na zawsze być razem. Zrobiłem wszystko źle i tak mi cholernie przykro.  
- Ciężko przełknął ślinę. - Żegnaj, Maggie.

Odwrócił się i powoli wyszedł z pokoju. Maggie słyszała, jak schodzi po schodach, a potem cicho zamyka za sobą frontowe drzwi.

Oderwała ręce od twarzy, zacisnęła je na kolanach i dopiero wtedy pozwoliła sobie na płacz. Kołysała się w przód i w tył, łzy płynęły niepowstrzymanym strumieniem, a szloch odbijał się echem od ścian pokoju.

Wreszcie zasnęła, śniły jej się kasztany, złote rybki i róże. Róże, które wędły, a ich płatki opadały i znikwały w zapomnieniu, aż już nic nie zostało.

Nic.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po trzech dniach płaczu Maggie miała dość własnego ponurego towarzystwa. W sobotę po południu zadzwoniła do Patty i zaprosiła ją do siebie. Patty przyszła godzinę później, zobaczyła blade policzki i zaczerwienione oczy przyjaciółki i spytała, co się właściwie dzieje.

- Powiedz mi wszystko - zażądała, siadając na kanapie.

I Maggie jej opowiedziała. Krztusząc się łzami, mówiła o oszustwie Luke'a, o jego diabolicznym planie, o niekończącym się łańcuchu kłamstw, jakimi ją raczył.

- Kocham go - szlochała - a on się mną bawił.

Patty słuchała jej z zapartym tchem.

- Wiem, że muszę odwołać wszystko, co już przygotowałam na ślub Rose i Clyde'a - załkała Maggie na koniec.  
- Ale za każdym razem, gdy biorę do ręki słuchawkę, wybucham płaczem. Och, Patty, jestem zdruzgotana. Nigdy się nie pozbieram. Tak mi smutno.

- Nie dziwię się - powiedziała Patty. - Ach, to wszystko jest... Posłuchaj, Maggie. Na pewno nie spodoba ci się to, co powiem, ale moim zdaniem ta intryga, plan, czy jak

to nazwać, wymyślone przez Luke'a, to najbardziej romantyczna sprawa, o jakiej w życiu słyszałam.

- Co takiego? - Maggie zerwała się na równe nogi.

- Siadaj - nakazała Patty, wskazując ręką kanapę.

Maggie usiadła.

- Patty, jak ty w ogóle możesz tak mówić? Romantyczna?

Ha! W kłamstwie nie ma nic romantycznego. A on kłamał i kłamał jak najęty. Luke absolutnie nie jest przesądny, ale sprawił, że... Romantyczna? Chyba oszalałaś!

- Uspokój się. Przyjrzyjmy się całej sprawie po kolei. Ty i Luke spodobałiście się sobie od pierwszej chwili.

-Tak, ale...

- Gdyby na weselu Ginger i Roberta zaproponował ci, byście się spotykali, sprawdzili, jak daleko to wzajemne przyciąganie może was doprowadzić, odmówiłabyś. Tak by było?

- Tak, oczywiście - odparła Maggie. - Między nami zdarzyło się coś bardzo poważnego. Ale nie zaryzykowałabym widywania się z nim. Przecież gdybym się zakochała, skończyłoby się to złamanym sercem, tak jak u wszystkich w naszej rodzinie. W żadnym wypadku bym do tego nie dopuściła.

- A Luke - kontynuowała Patty - jest mądry. Uświadomił sobie, że po to, by móc się z tobą widywać, musi podejść do sprawy w jakiś niekonwencjonalny sposób. Bo, Maggie, on tego pragnął całym sercem. Pomyśl o czasie i energii, jakie musiał poświęcić, tworząc ten swój plan, wprowadzając go w życie i dbając, by działał.

- Owszem, jego kłamstwa utrzymywały plan przy życiu  
- parsknęła Maggie, piorunując Parry wzrokiem.

- Pomyśl jeszcze o jednej rzeczy. Taki mężczyzna jak Luke nie  
i ma tyle kobiet, ile zechce. Ale on chciał ciebie, Maggie,  
i bardzo ciężko pracował, żeby cię zdobyć. To, moja droga  
przyjaciółko, jest niewyobrażalnie romantyczne.

-Ale...

- Och, Maggie, kochanie, ten człowiek jest tak w tobie  
zakochany, że na samą myśl serce mi topnieje. A ty nie zo-  
stawiłaś mu żadnego wyboru. Musiał zastosować jakiś pod-  
stęp, zrobić wszystko, co tylko się dało i co przyszło mu  
do głowy, żeby być przy tobie. I udało mu się, bo ty też się  
w nim zakochałaś. A co ty zrobiłaś? Nawymyślałaś mu od-  
łajdaków i kazałaś się wynosić. Powinnaś iść sobie zbadać  
głowę.

- Jak możesz tak mówić? Po czyjej jesteś stronie? - wy-  
buchnęła Maggie. - Myślałam, że jesteś moją najlepszą  
przyjaciółką. Moją, rozumiesz, a nie Luke'a! Ja ci opowia-  
dam o tym, jak mnie okłamywał, i...

-I o miłości - szepnęła Parry w rozmarzeniu. - O ro-  
mantycznej miłości, miłości na zawsze. O miłości, która  
prowadzi do ślubu. O miłości w jej najczystszej, najpięk-  
niejszej postaci, i...

- Stajesz się cikliwa - mruknęła Maggie. - Robi mi się od  
tego niedobrze.

- A ty jak byś to nazwała? Maggie, przemyśl to. Napraw-

dę przemyśl sobie wszystko, co Luke zrobił, żeby zdobyć twoje serce. To po prostu nie mieści mi się w głowie. Do licha, człowiek był tak zdesperowany, że nawet poprosił ojca o pomoc.

Maggie zmarszczyła czoło i wpatrzyła się w przestrzeń.

- Może masz rację - zaczęła po chwili. - On rzeczywiście spędził mnóstwo czasu, szukając ze mną idealnego apartamentu dla nowożeńców, chociaż jest zapracowany. I zapamiętał te wszystkie przesady, żeby móc mi je przytaczać przy każdej okazji. I cały czas mówił, żebym zaplanowała ślub Rose i Clyde'a tak, jakbym go wymarzyła dla siebie, bo...

- Bo miał nadzieję, i modlił się o to, by to był naprawdę twój ślub z nim - dokończyła Parry. - Nareszcie zaczynasz rozumieć. I musisz przyznać, że cała ta sprawa jest niesamowicie romantyczna.

Maggie przycisnęła ręce do twarzy.

- Mój Boże, co ja najlepszego zrobiłam! Widziałam tylko, że kłamał, grał jakąś rolę, żeby zrealizować swój plan. I natychmiast uwierzyłam, że padłam ofiarą pecha, bo zakochałam się w niewłaściwym mężczyźnie. Widziałam tylko to, co zrobił, a nie dlaczego to zrobił. I kazałam mu się wynosić. Och, Patty. Kocham Luke a tak bardzo i on tak mnie kocha, a straciłam go, bo nie umiałam przezwyciężyć strachu. Byłam dla niego taka okropna, taka podła. Wszystko przepadło. Koniec, stało się. I to tylko moja wina. Jestem taka głupia!



- Tak - przytaknęła Patty. - Masz rację.
- Bardzo ci dziękuję.
- I co? Teraz będziesz tu siedziała i do końca życia wylewała wiadra łez?
- Tak.
- Doskonale. - Patty wstała. - Ale jedna rzecz jest całkiem jasna.
- Co?
- Nie kochasz Luke'a tak bardzo, jak on ciebie.
- Jak możesz tak mówić? - parsknęła Maggie z furją.
- Zwyczajnie. - Patty wzruszyła ramionami. - Zresztą co innego mogłabym pomyśleć? Luke stawał na głowie, żeby zdobyć twoje serce. Wymyślił plan. A ty? Ty tylko załamujesz ręce i uzalasz się nad sobą. On walczył o ciebie. Natomiast ty od razu zrezygnowałaś i zamierzasz iść przez życie z opuszczoną głową i oczami czerwonymi od płaczu. A więc nie. Nie kochasz go tak bardzo, jak on kocha ciebie.
- Kocham go. Kocham go całym sercem! Myślisz, że ja też mogłabym stworzyć jakiś plan, żeby go odzyskać, żeby mi wybaczył? No więc patrz! Zabieram się do dzieła!
- Nareszcie. - Patty z powrotem usiadła. - Czas na burzę mózgow. Stawką jest twoje przyszłe szczęście i szczęście Luke'a. Myśl. Stwórz... plan.
- Niech diabli porwą plan! - wykrzyknął Luke. - Przez niego straciłem ukochaną kobietę! A myślałem, że jest taki wspaniały, taki genialny.

- Próbowałem cię ostrzec, że kobiety są naprawdę drażliwe na punkcie oszustwa, synu - powiedział George St. John ze smutkiem.

Jedli lunch w klubie George'a. Luke jak rzadko kiedy nie miał apetytu.

- Tak, ostrzegałeś mnie - przyznał posepnie. - Ale czy ja cię posłuchałem? Nie. Rzuciłem się na łeb, na szyję w realizację mojego planu i teraz za to płacę. Na samą myśl, że już nigdy nie zobaczę Maggie, nie będę miał z nią wspólnej przyszłości, nie zostanie moją żoną i matką moich dzieci, wszystkiego mi się odechciewa... Och, tato, to prawdziwe piekło.

- Rzeczywiście - przyznał George. - Zamówimy jakiś deser?

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodny. Nie mogę spać, i starzeję się w oczach. Jestem ruiną człowieka.

- Luke, przyjąłbyś radę od swojego staruszka?

- A czy w ogóle po tym nieszczęściu, do którego, zresztą sam doprowadziłem, znajdziesz dla mnie jakąś dobrą radę?

- Tak. Uważam, że powinieneś dać Maggie trochę czasu. Zostaw jej wolną przestrzeń i czas, żeby wszystko przemyślała. Luke, jeśli chodzi o mądrość, kobiety, niech Bóg je błogosławi, biją mężczyzn na głowę. Ich rozumowanie sięga głębiej, jest bardziej szczegółowe i emocjonalne. Pozwól jej zastanowić się nad tym, co się wydarzyło, co zrobiłeś i dlaczego to zrobiłeś. Bądź cierpliwy i czekaj.

- Jak długo? - spytał Luke z rozpaczą. - Aż Maggie od-

wiedzi mnie w domu dla starców i powie, że nadal uważa mnie za człowieka godnego pogardy?

- Zabawny pomysł - roześmiał się George.

- Nie ma w tym nic zabawnego. Przecież ja straciłem kobietę, którą kocham!

- Tak mogłoby się wydawać. Ale jeszcze nie jestem tego pewny. Czas, Luke. Przestrzeń. Cierpliwość. To twój nowy plan.

- Słowo „plan” powinno zostać wykreślone z języka - parsknął Luke z niesmakiem.

- No więc taka jest właśnie moja rada, synu. Och, i zrób mi przysługę. Mieliliśmy popracować nad tą sprawą, o której mówiliśmy, ale nie wracaj dziś po południu do kancelarii. Chyba nie zniosę dłużej twojego radosnego nastroju. Idź na spacer, do kina, upij się, rób, co chcesz, ale oszczędź mi twojej obecności.

- Bardzo ci dziękuję - obruszył się Luke.

Następny tydzień włókł się Luke'owi w nieskończoność.

Wczesnym popołudniem w piątek siedział w swoim gabinecie i gapił się w przestrzeń. Zresztą głównie na tym właśnie w ostatnich dniach upływał mu czas.

Pomyślał, że sam powinien się wyrzucić z pracy za brak wydajności. Nie potrafił skoncentrować uwagi na niczym prócz Maggie i tej okropnej finałowej sceny w jej bawialni. Czas? Przestrzeń? Cierpliwość? Jak na razie przez to wszystko dostawał już szału. Maggie nie odezwała się do niego ani razu i bardzo się obawiał, że tak już zostanie.

Nagle zabrzączał dzwonek interkomu. Patrzył na niego długą chwilę, zastanawiając się, czy odebrać. Interkom znów zadzwonił. Luke z westchnieniem przycisnął klawisz.

- Tak, Betty?

- Luke, dzwoni kobieta, która przedstawiła się jako Patty. Mówi, że jest najlepszą przyjaciółką Maggie Jenkins i ma do ciebie bardzo ważną sprawę.

- Odbiorę! - krzyknął Luke i z walącym sercem podniósł słuchawkę. - Patty? Cześć. Tu Luke. Dlaczego dzwonisz? Coś się stało Maggie? Jest chora? Mów!

- Powiedziałaabym, gdybyś mnie dopuścił do głosu - roześmiała się Parry.

- Och, tak, jasne. Przepraszam.

- Tak ogólnie, nic złego się z nią nie dzieje - kontynuowała Patty - prócz tego, że jest okropnie poruszona. Nieszczęśliwa. Smutna. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak, rozumiem. W ostatnich czasach smutku jest więcej, niż można znieść.

- Ale nie dlatego dzwonię. Jestem teraz w sklepie dla młodych panien. Myśmy tutaj z Janet przymierzały sukienki jako rzekome druhny. Pomagam Maggie odwołać wszystkie przygotowania, które robiła dla Rose i Clyde'a.

- I?

- No więc, właścicielka sklepu mówi, że za te dwie sukienki dla druchen trzeba zapłacić dziś i zamówienia nie

można już odwołać, bo sukienki są gotowe na ostatnią przymiarę. Ja nie mam pieniędzy i wiem, że Maggie też nie ma. Nie powiedziałam jej, że do ciebie dzwonię, bo nie chcę jej jeszcze bardziej denerwować. Czy mógłbyś tu wpaść i załatwić te rachunki?

- Oczywiście. Przynajmniej tyle mogę zrobić. Podaj mi adres. - Przerwał na chwilę. - Patty, kocham Maggie. Naprawdę ją kocham. Myślisz, że istnieje jakaś nadzieja, że ona mi przebaczy?

- Ach, Luke, nie wiem, co ci powiedzieć. Nigdy jej jeszcze nie widziałam w takim stanie. Jest taka zrozpaczona, że gdy patrzę na nią, serce mi się kraje.

- Och - westchnął. - To źle. Po prostu fatalnie. Wygląda na to, że upływ czasu nie zadziałał.

- Słucham?

- Nie, nic takiego - powiedział i jeszcze raz głęboko westchnął. - Podaj mi adres tego sklepu i powiedz właścicielce, że już jadę.

- Bardzo ci dziękuję.

- Załatwię też rachunki z pozostałymi dostawcami. Tak bym chciał, żeby to wszystko potoczyło się inaczej. Chciałbym... Nieważne. To wszystko moja wina. Zadzwoń do mnie, gdyby pojawiły się jeszcze jakieś kłopoty.

- Dobrze. Jasne. Ale nie wszystko można odwołać. Pewnie skończy się na tym, że sami zjemy te piękne różyczki z białej czekolady, które miały leżeć w małych koszykach przy każdym nakryciu.

- Róże i marzenia - powiedział cicho Luke.
- Tak. No, to na razie.
- Na razie, Party.

Miedziany dzwonek nad drzwiami obwieścił wejście Luke'a do salonu dla młodych par. Gdzieś z oddali jakaś kobieta zawołała, że zaraz przyjdzie. Luke, z rękami w kieszeniach, obszedł bogato urządzone pokój. Potem zatrzymał się pośrodku i zmarszczył brwi.

To jest sklep dla ludzi z najlepszego towarzystwa, pomyślał. Przez swój cholerny plan zmusił Maggie, by tu przychodziła, wybierała suknie na wymarzony ślub, wierząc, że wybiera je na ceremonię dla Rose i Clyde'a.

To samo dotyczyło apartamentu dla nowożeńców, menu na przyjęcie, każdego najmniejszego szczegółu, jak na przykład białe czekoladowe różyczki w maleńkich koszykach. I Maggie musiała się tym wszystkim zająć.

Jego plan nie był genialny. Był okrutny.

On, Luke St. John, jest podłym nędznikiem i nie zasługuje na przebaczenie.

Tak, niezaprzeczalnie jest godny pogardy. Nie ma żadnej szansy, by jego ukochana Maggie przebaczyła mu to, przez co musiała przejść.

- Przepraszam, że musiał pan czekać. - Do pokoju weszła ładna kobieta koło czterdziestki. - Jestem Selina Simone, właścicielka salonu. A pan?

- Luke St. John.

- Ach, tak. Patty mówiła, że pan przyjdzie. Mam nadzieję, że pan rozumie, dlaczego muszę prosić o zapłatę za sukienki, które Maggie zamówiła.

- Oczywiście. Zaraz wypiszę czek. Chciałbym, żeby Patty i Janet zatrzymały te suknie. Czy mogłaby pani tego dopilnować?

- Z przyjemnością. Są piękne. Maggie ma taki doskonały gust i była taka podekscytowana, gdy znalazła dokładnie ten odcień zieleni, jaki chciała na swój... na bożonarodzeniowy ślub, który organizowała. Jestem pewna, że Janet i Patty ucieszą się z prezentu.

- Tak - przytaknął Luke ponuro. - Będzie miło wiedzieć, że przynajmniej ktoś się uśmiecha. Czy jest jeszcze coś, czym muszę się zająć?

- Owszem, jest coś takiego. Dodatki, rozumie pan. Satynowe wstążki do bukietów i inne takie rzeczy.

- Oczywiście. Zapłacę za wszystko, co zostało zamówione.

- Zechciałby pan przejść ze mną do biura? Tam trzymam dokumenty i będzie mi łatwiej sprawdzić formularze zamówień.

- Jasne.

- Przepraszam, ale muszę jeszcze coś załatwić. Za chwilę do pana dołączę. Proszę, niech pan przejdzie do tamtego pokoju i zaczeka.

To czysta tortura, pomyślał Luke. Każda sekunda, jaką spędzał w sklepie, coraz dobitniej mu uświadamiała, jakie



trudne i bolesne musiało to być dla Maggie. Tak, zasługuje na to całe cierpienie, powiedział sobie.

Wszedł do średniej wielkości pokoju. Podłogę przykrywał gruby różowy dywan. Fotele w kolorze żurawiny ustawiono w półkole przed arkadą z białej wikliny, ozdobioną sztuczną zielenią i kwiatami. Pod ścianą stało wielkie trójdzielne lustro. Z niewidocznych głośników płynęła słodka, łagodna muzyka.

Człowieku, popatrz tylko na to miejsce, pomyślał Luke. Z każdą chwilą dzieje się coraz gorzej. Maggie prawdopodobnie siadywała na tych fotelach i przyglądała się, jak Janet i Parry przymierzają sukienki. Suknie jej marzeń. Wierzyła, że będą je nosić druhny Rose.

A suknia ślubna? Boże, czy i ją Maggie musiała już wybrać? Przymierzać? Ślubną suknię, którą miałyby na sobie, gdyby to ona była panną młodą? Powinno się go powiesić za kciuki za to wszystko, co zrobił Maggie.

Luke wzdrygnął się, gdy muzyka stała się trochę głośniejsza. To był marsz weselny.

Dlaczego grają go właśnie teraz? Na czoło wystąpiły mu krople potu. Dłużej tego nie zniesie. A Maggie na pewno musiała choć raz słyszeć ten utwór, przebywając tu, w sklepie... Gdzie jest właścicielka? On musi się stąd wydostać.

Gorączkowo się rozejrzał w nadziei, że Selina Simone się pojawi, a potem jego uwagę zwrócił jakiś ruch za śliczną arkadą.

Spojrzał w tamtą stronę i oddech zamarł mu w piersiach.

- Mój Boże - szepnął. Serce waliło mu jak oszalałe. - Maggie!

Szła ku niemu, na sobie miała przepiękną długą białą ślubną suknię w staroświeckim wiktoriańskim stylu, z wysokim kołnierzem i mnóstwem perełek naszytych na staniuku. Ściśle przylegała do jej szczupłej talii, a potem rozszerzała się aż do ziemi w miękkich lśniących fałdach. Cienki jak pajęczyna welon opadał na ramiona. Był odrzucony i odsłaniał twarz.

I ona się uśmiechała.

- Maggie? - wyszeptał Luke.

W takt marsza weselnego szła do niego miarowym krokiem panny młodej, idącej nawa do ołtarza, by złączyć się z narzeczoną. W końcu zatrzymała się przed nim, a on wpatrywał się w nią olśniony.

- Witaj, Luke - odezwała się miękko.

- Jesteś... - Musiał odchrząknąć. - Maggie, jesteś najpiękniejszą panną młodą, jaką w życiu widziałem. Ale nie rozumiem...

- Wyjaśnię ci. Usiądźmy.

- Tak, dobrze.

Maggie usiadła i starannie rozpostarła spódnicę. Luke przyciągnął drugi fotel, usiadł naprzeciwko niej, pochylił się, oparł łokcie na kolanach i cały zamienił się w słuch.

- Luke - zaczęła, patrząc mu w oczy. - Mam nadzieję, że

przebaczysz mi te okropne rzeczy, jakie mówiłam, gdy opowiedziałeś mi o swoim planie.

- Przebaczyć? Tobie! - wykrzyknął. - To ja chcę cię błagać o przebaczenie za to, że byłem taki... okrutny i bezmyślny, karmiąc cię tymi wszystkimi kłamstwami i... To, że byłem zrozpaczony, przerażony, że cię stracę, nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Myślałem, że jestem taki sprytny, taki... Maggie, przepraszam.

- A więc, jeśli chodzi o plany, jesteście kwita - powiedziała, uśmiechając się czule. - Bo ja, razem z Patty i Seliną, też stworzyłam plan, żeby cię tu dziś ściągnąć.

- Zaplanowałyście to sobie? - zdziwił się.

- Luke, straszliwie przesadziłam z reakcją, gdy mi powiedziałeś o Rose i Clydzie, o tym, jak chciałeś, żebym zorganizowała ślub moich marzeń i... Usłyszałam jedynie, że mnie okłamałeś i nie jesteś tym, za kogo cię uważałam. Mogłam myśleć tylko o tym, że popełniłam okropny błąd, zakochując się w tobie, i że padłam ofiarą pecha Jenkinsów.

-Nie, ja...

- Proszę, wysłuchaj mnie do końca.

Luke skinął głową.

- Tak się nad sobą użalałam - kontynuowała Maggie. - Czułam się zdradzona i... Ale Patty uświadomiła mi, że to, co zrobiłeś, nie jest wstętne i podłe, lecz przeciwnie, jest niewyobrażalnie romantyczne, bo zrobiłeś to wszystko z miłości do mnie i dlatego, że z całego serca pragniesz się ze mną ożenić i urządzić ślub moich marzeń.

- Tak! Właśnie tak było! - zawołał Luke. - Dlatego to zrobiłem. Ale potem byłem przekonany, że na zawsze cię straciłem, że znów się ukryjesz za tym swoim murem i nigdy nie zdołam cię odzyskać.

- Luke, mur już nie istnieje. Po rozmowie z Patty poszłam na długi spacer i słuchałam, co mi mówi moje serce. A ono mi powiedziało, że miłość, prawdziwa miłość, miłość na zawsze, jest silniejsza niż przesady czy pech. Wiem, że to, co nas łączy, będzie trwało w dobrych i złych chwilach, w chorobie i zdrowiu, dopóki śmierć nas nie rozłączy, a może i nawet potem.

- Ach, Maggie - wyszeptał Luke przez ściśnięte gardło.  
- Tak bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham - powiedziała i nagle w jej oczach pokazały się łzy. - Opracowałyśmy z Patty i Seliną plan. Postanowiłyśmy cię tu sprowadzić, żebyś mnie zobaczył w tej sukni, którą chciałabym mieć na sobie podczas naszego ślubu. Chciałam ci udowodnić, że już nie wierzę w pecha ani w żadne przesady, na przykład takie jak ten, że pan młody nie może zobaczyć narzeczonej w sukni ślubnej przed ceremonią. Chciałam ci udowodnić, że jestem wolna, by żyć i kochać, i że chcę spędzić z tobą resztą życia jako twoja żona. .. jeżeli ty też tego pragniesz.

Luke wstał i drżącymi rękami podniósł Maggie na nogi.

- Maggie Jenkins - powiedział, próbując nie dopuścić, by zbierające mu się w oczach łzy spłynęły na policzki. - Czy

uczynisz mi zaszczyt i zostaniesz moją żoną? Maggie, wyjdiesz za mnie? Maggie, proszę.

- Tak - odpowiedziała, uśmiechając się przez łzy radości. - Och, tak!

Luke objął rękami jej twarz i pocałował ją delikatnie, z wielką czcią, by przypieczętować tę obietnicę.

I wtedy, jakby dano sygnał, muzyka zmieniła się. Rozległy się dźwięki walca, ich walca. Luke objął Maggie i zaczęli wirować wokół pokoju, jakby płynęli na obłokach, patrząc sobie w oczy, widząc w nich zrozumienie i przebaczenie, miłość i szczęście, które będą dzielić przez wiele, wiele lat.

Przyjęcie weselne państwa St. Johnów trwało już od paru godzin. Wreszcie świeżo poślubieni małżonkowie uznali, że mogą się dyskretnie ulotnić i zniknąć w apartamencie dla nowożeńców.

- Och - jęknęła Patty w rozmarzeniu - to było takie piękne. Łącznie z moją prześliczną sukienką. Po prostu idealne. Każdy szczegół, szczegół, szczegół, jak powiedziała by Maggie. I łącznie z tymi pysznymi różyczkami z białej czekolady. Jaka doskonała para są Maggie i Luke. I jacy są szczęśliwi! Myślę, że nadają temu słowu całkiem nowe znaczenie.

- Tak - zgodziła się Martha, matka Maggie. - Masz rację. Widzieć ich razem... Powiem tylko, że chyba już nigdy więcej nie będzie mowy o pechu. Maggie i Luke przełamali tę okropną klątwę. W głębi serca wiem, że tak właśnie jest.

- Zgadza się z tobą, mamó - odezwała się Janet. - I po-

wiedziałabym, że mój brat też się z tobą zgadza. Przez cały wieczór tańczył z tą sympatyczną dziewczyną, którą tu poznał. - Przerwała na chwilę. - Podobały wam się ślubne prezenty, jakie wymienili Maggie i Luke? Maleńki złoty kasztan na delikatnym złotym łańcuszku dla Maggie od Luke'a, i złote spinki do mankietów w kształcie kasztanów dla Luke'a od Maggie. Powiedziała mi, że to symbole wszystkiego, co się wydarzyło i doprowadziło do dzisiejszej uroczystości. Och, Boże, to takie romantyczne, że ledwo się powstrzymuję od płaczu.

- Ja już sobie popłakałam - wyznała Parry ze śmiechem.

- Mogą sobie dawać w prezencie złote kasztany, ale na szczęście przestali zajmować się przesadami - stwierdziła Martha z radością. - I koniec z „Różami i Marzeniami”, Maggie zlikwidowała firmę. - Uśmiechnęła się. - Powiedziała, że dzięki tej firmie wszystkie jej marzenia się spełniły, więc teraz myśli o otwarciu butików z rzeczami dla dzieci. Ma nadzieję, że w ten sposób przyspieszy nową radość, jaką byłoby przyjscie na świat pierwszego małego St. Johna.

- Mój Boże! - wykrzyknęła Patty. - Nie brzmi to jak kolejny przesąd? No, no, coś takiego! Czyżby cała ta karuzela zaczynała się kręcić od nowa?